



# DZIŚ i JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok IX

Warszawa, 8 lutego 1953

Nr 6 (376)

V NUMERZE m. in.:

W. KĘTRZYŃSKI — O moralności  
A. GERARD — Czucie z rzeczywistością  
Z. CZAJKOWSKI — Kryzysy cykliczne czy kryzys kapitalizmu  
J. F. POWERS — Podbite oko  
A. ODNOWA — Arcydzieło scenicznej satyry  
K. SZWARCENBERG-CZERNY — Wspomnienie o prof. Stanisławie Srokowskim

Maciej I KONONOWICZ

### FRANKFURCKI DZWON

Niemcy! Do wyznań niezbyt skory,  
Rozluźniam pięść od głazu cięższą —  
Naprzeciw, pierwszy raz bez broni,  
Przekraczam most z nabitym — sercem.

Nie dziwcie się, że z trudem dłoń ma  
Zmienia się z pięści w liść kasztana:  
Widziałem braci moich co dnia  
Z ładunkiem gipsu w niemych wargach,

Widziałem co dnia w moim kraju  
Owocujący sad szubienic  
I wiatrem wniebowzięty naród:  
Dym, z ponad oświęcimskich wieży...

O dzwonie przy frankfurckim moście  
Historia śpiewać będzie długo!  
Człowiek, gdy sercem chce, przerośnie  
Czas, w którym miecze grożą pługom.

Człowiek, gdy zechce, złom armatni  
I porzewiałe czołgów pyski  
Przetopi w dzwon, w stalowy natrysk,  
Aby się obmyć z nienawiści.

Frankfurcki dzwon i most i Odra —  
Jakbyś wyorał błękit z ziemi —  
Bóg z wysokiego patrzy siodła  
I huśta stopą złote strzemie

Stalowy dzwon, kamerton boży,  
Wargi srebrzystym „cis“ nastroił —  
Już nigdy więcej z brzegów Odry  
Na wschód nie przejdzie płomień wojny!

„Frieden und Freundschaft“ — pocóż gównik  
I pocó gesty? Patrzę w oczy  
Nie w łufę. Wy — nie przez celownik,  
Jak ci, z zachodniej Europy.

„Pokój i przyjaźń“ — wodą, łądem  
Po rosie rannej i o zmierzchu,  
Z wiatrem, pod wiatr, pod prąd i z prądem —  
Po polsku brzmi i po niemiecku...

Na krańcach świata słycać dzwon ten  
Przez żywe odbiorniki w piersi —  
Chwytam go z niebotycznych anten  
Modlitwą i strofami wierszy.

Serce człowiecze — kruchą trzcinę.  
Snuje muzyczną pajęczynę  
I, jak niewodem, pieśnią chwyta  
I wtedy dzwon się rozkołysał!

Andrzej KRASIŃSKI

## O jedności i samodzielności

**P**ROBLEMY, przed którymi stanął katolicyzm w Polsce po rewolucji społecznej, jaka się u nas dokonała, nie mogą być rozpatrywane wyłącznie w aspekcie naszego kraju ani też w oderwaniu od długotrwałych procesów historycznych, które w ciągu dziejów nowożytnych poprzez laicyzację życia i wzrost dynamizmu chrześcijańskich ruchów, zmniejszyły udział Kościoła i jego wyznawców w twórczym kształtowaniu oblicza cywilizacji europejskiej.

Jeśli ten stan rzeczy wzbudzał wśród katolików reakcję, to u wielu ograniczała się ona do rosnącej niechęci do tych wszystkich chrześcijańskich tendencji, przez co pogłębiała się jeszcze bardziej przepaść pomiędzy katolicyzmem, a głównym nurtem historycznym procesów i indywidualnych twórczych poczynań. Brak natomiast było, a w każdym razie brak dostatecznie konsekwentnego i skutecznego wysiłku, zmierzającego do uczynienia ze światopoglądu katolickiego siły mobilizującej ludzi do kształtowania przebiegu dziejów.

Królestwo Łoże nie jest z tego świata, ale droga ku temu królestwu wieść musi poprzez ścieżki tego świata. Stąd kapitalna doniosłość stosunku katolicyzmu do cywilizacji, w jakiej rozwija się i działa.

Nazywanie cywilizacji europejskiej — chrześcijańską stawało się w ciągu ostatnich wieków coraz mniej uzasadnione. Ta nazwa coraz bardziej odnosiła się do genezy tej cywilizacji, coraz mniej do jej dynamiki. Jest nie tylko naiwne, ale także szkodliwe to, co czynią niektórzy pisarze katolicki, wyjaśniając tę regresję bezbożnością i złą wolą większości wielkich postaci, którzy przez dzieje nowożytne przewodzili postępowi. Pomijając już kwestię idealistycznego przeceniania roli genialnych jednostek w kształtowaniu historii, na pewno bardziej płodne i pouczające jest zastanowić się dlaczego w dziedzinie tych przewodników tak stosunkowo mało znalazło się świadomych katolików i dlaczego większość społeczności katolickiej, tak w gruncie rzeczy obca i daleka była pochodowi myśli i osiągnięć człowieka.

Zastanawianie się nad wyjaśnieniem tych pytań nie leży bezpośrednio w zakresie niniejszych rozważań, a wymaga gruntownej analizy całego spłotu okoliczności, które na ten stan rzeczy się złożyły. Tu wystarczy, jeśli przypomnimy o wielu przebrzmiałych średniowiecznych ideałach kultury, które niezmiernie silnie zaciążyły na postawie katolików nowożytnych wobec rozwoju społecznego i postępu cywilizacyjnego.

Dla wielu tych ludzi wizja jednolitej, teokratycznej cywilizacji średniowiecza mimo upływu wieków nie przestawała wydawać się realną i jedynie dopuszczalną dla katolika, co skolei powodowało aprioryczne negacje i odrzucenie jako nie katolickich wszelkich innych rozwiązań, nie wspartych pośrednio, lub bezpośrednio na średniowiecznych wzorach. W ten sposób,

jak to się często dzieje i w innych dziedzinach, pozorny, nie oparty na realizmie maksymalizm, jest źródłem faktycznego minimalizmu. Wielkie, ale urojone zadanie obywatelstwa i przeszkadza w wykonaniu zadań mniejszych, ale bliższych, realnych i niezbędnych.

Dopiero nasza współczesna epoka przyniosła przewyższenie tkwiących głęboko w świadomości pewnych katolików obecności i uprzedzenia do nowożytnego kształtu cywilizacji, budowanej myślą i wysiłkiem ludzi o różnych światopoglądach i nie opartej, jako całość, na fundamencie religijnym. Życie ze wstającą natarczywością domaga się nowych rozwiązań. O ile bowiem spoglądając wstecz na dzieje nowożytne dostrzegamy niepokojące osłabienie twórczego udziału katolików w pochodzie cywilizacyjnym ludzkości, to problem ten dopiero wówczas wystąpi z całą wyrazistością i drastycznością, gdy obrócimy oczy ku przyszłości.

Nie może ulegać wątpliwości, że jedną w naszych czasach twórczą siłą historyczną, to ruch robotniczy i niesiona przezeń rewolucja. Wszystkie inne czynniki światowej gry politycznej należą do przeszłości. Rozumieją to dobrze nawet konserwatyści, a ich postawa wobec procesów historycznych ogranicza się tylko do hamowania postępów rewolucji, zagrażającej ich osobistym interesom. Nie próbują nawet przeciwstawić jej jakiejś twórczej koncepcji.

Niezależnie więc od wyniku poszczególnych faz rozgrywki i od czasu jej trwania, co do końcowego rezultatu nie może być wątpliwości, bowiem tylko nowy świat wspiera swe siły na poczuciu moralnej słuszności i tylko on działa zgodnie z tendencjami historycznego rozwoju społecznego.

Mówiąc o doniosłych rozstrzygnięciach i nowych zadaniach mamy na myśli wysiłek w dziedzinie aktualnej interpretacji w życiu praktycznym niezmiennych zasad religii katolickiej.

O niezmienności podstawowych zasad niema powodu obszerniej mówić, jest ona dla każdego katolika pewnikiem. Ale najbardziej bezsporna zasada może być i bywa błędnie zastosowana. Ta sama norma „nie kradnij“ odmiennie tłumaczyła się na język praktyczny w średniowieczu, niż w XIX wieku. Niedgdyś normą tą objęty był zakaz pobierania procentu od pożyczek, z biegiem czasu i na skutek przemiany struktury społecznej proceder ten stał się dopuszczalny. Dziś w momencie przesilenia się dwóch epok twierdzimy, że normie „nie kradnij“ sprzeciwia się kapitalistyczna doktryna prywatnego posiadania środków produkcji i bogacenia się kosztem cudzej pracy, równocześnie jednak są jeszcze ludzie tkwiący w poglądach XIX wiecznych, a wywodzący swoje przekonania z tych samych zasad, którzy twierdzą, że, przeciwnie, udaremnienie prawa do wycisku i zniesienie prawa własności na środkach produkcji sprzeciwia się przykazaniu „nie kradnij“.

Ten przykład nie zmierza bynajmniej do obrony relatywizmu moralnego, ani też do kazuistycznych rozstrząsań poszczególnych „cas de conscience“. Właśnie dlatego te sprawy zasługują na uwagę, że nieunikniona zmienność w stosowaniu niezmiennych zasad moralności nie dotyczy poszczególnych przypadków, ale jest powszechna i ściśle związana z dynamiką społecznych przemian.

Nie chodzi tu zresztą tylko o zakazy objęte podstawowym kodeksem moralności, chodzi w równej mierze

(Dokończenie na str. 2)

## Oświadczenie Komisji Głównej Intelktualistów i Działaczy Katolickich przy P.K.O.P.

Komisja Główna Intelktualistów i Działaczy Katolickich z uwagą śledziła proces krakowski, wykazujący dowodnie, jakich sposobów chwytają się siły wrogie Narodowi Polskiemu w nadużywaniu religii i dobrego imienia Kościoła Katolickiego do akcji godzącej w całość i niepodległość Ojczyzny. Przebieg procesu wykazał, do czego doprowadza duchowieństwo katolickie lekceważenie, a nawet świadome naruszenie Porozumienia zawartego między Rzadem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej a Episkopatem Polski. Porozumienia uważanego słusznie za doniosły akt w dziedzinie współistnienia w naszym kraju odrębności światopoglądów i możliwości pracy i rozwoju Kościoła Katolickiego w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Stosunki, które panowały w Metropolicznej Kurii krakowskiej, jako godzące bezpośrednio w dobro narodu i przyszłość Kościoła, winny się spotkać z wyłączeniem ostatecznych wniosków, z kategorią odbioru najwyższych czynników kościelnych w Polsce, w sposób wykluczający możliwość powtórzenia się ich gdziekolwiek indziej.

Wobec zjednoczenia się całego narodu pod przewodnictwem Rządu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej wokół hasła i programu Frontu Narodowego, Komisja Główna Intelktualistów i Działaczy Katolickich zwraca się niniejszym do duchowieństwa polskiego i wierzących z gorącym wezwaniem dania wyrazu swemu oburzeniu w stosunku do panującej w Kurii krakowskiej atmosfery wrogości dla Polski Ludowej, a czyni to w przekonaniu, że kompetentne czynności katolickie wyciągnięte z procesu krakowskiego należyte konsekwencje, pokój wewnętrzny, dobro Kościoła i pożytek Ojczyzny mające na celu,

PREZYDIUM KOMISJI GŁÓWNEJ

Ks. prof. dr JAN CZUJ  
Przewodniczący

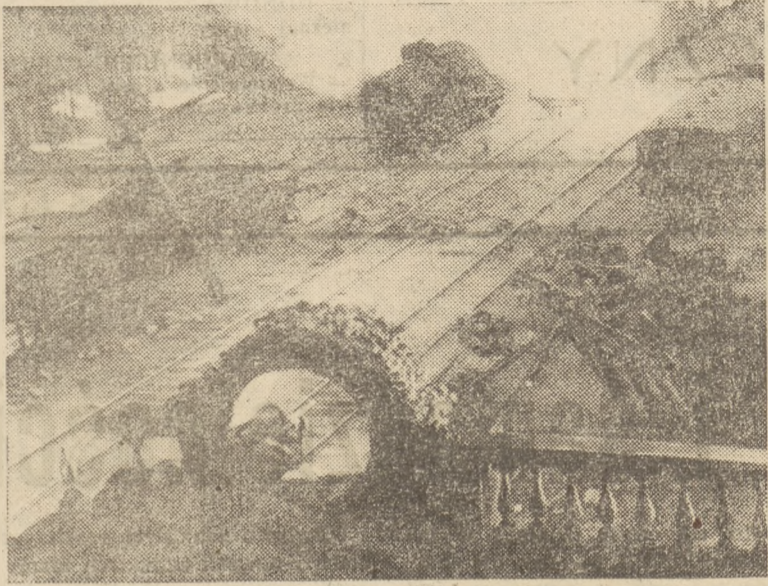
Ks. prof. dr E. DĄBROWSKI  
Wiceprzewodniczący

prof. dr T. LEHR-ŚPIŁAWIŃSKI  
Wiceprzewodniczący

red. A. MICEWSKI  
Sekretarz



## Pod Stalingradem ocalono twój dom



Fragment walk w Stalingradzie

**2**LUTEGO, dziesięć lat temu, na ulicach i przedpolach Stalingradu rozstrzygał się Twój i mój los. Rozstrzygał się los milionów ludzi. I tych nad Wolgi i Donu i tych nad Wisły, Łaby czy Sekwany. Jedni to rozumieci, inni tego nie rozumieci, jeszcze inni nawet i teraz tego nie chcą zrozumieć — ale tak w istocie rzeczy było.

Nie przypadek, lecz logika historii sprawiła, że ta wielka operacja militarna miała tak decydujące znaczenie dziejowe. Stalingrad był zasadniczym przełomem w historii Wielkiej Wojny Narodowej Związku Radzieckiego i w całej historii II-jej wojny światowej. Od tej chwili Armia Radziecka z pozycji obronnych przeszła do ofensywy, która zakończyła się w końcu w Berlinie. Rozpoczął się wielki marsz naprzód, marsz, który przynosił wyzwolenie umęczonym przez hitlerizm narodom, otwierał bramy obozów koncentracyjnych, i dawał wolność ludziom, którzy nazajutrz mieli zostać spaleni w krematoriach.

Przełom militarno-strategiczny, początek wielkiej ofensywy wyzwolenie. Czy w tych dwóch określeniach zawiera się jednak cała wielkość dziejowa zwycięstwa stalingradzkiego, ani jego dalekosiężnego znaczenia historycznego nie sposób w pełni pojąć, jeśli nie rozumie się, że w Stalingradzie odniosła zwycięstwo nie armia jakiegokolwiek burżuazyjnego państwa, ale armia pierwszego w dziejach państwa robotników i chłopów. Walka narodów radzieckich o własne istnienie spręgała się w jedno z walką o wyzwolenie ludów spod jarzma hitlerizmu, a pierwsze państwo robotników i chłopów broniące swego istnienia broniło zwycięstwa sprawy wolności narodów świata. To decydowało o postawie bojowej armii i narodów radzieckich i to stworzyło niemożliwy w jakichkolwiek innych warunkach fakt, że dziś zwycięstwo stalingradzkie czci także wyzwolona z faszyzmu i kapitalizmu część narodu niemieckiego.

Gdy to pierwsze państwo robotników i chłopów zmagano się z hitleryzmem, gdy niosło na sobie decydujący ciężar walki zbrojnej, ułta została zbrodnica teoria o „wykrwawieniu się dwóch wrogów”. Heroldowie wstecznych sił świata pragnęli kosztem zwycięstwa i bohaterstwa narodów radzieckich wyciągnąć dla siebie kasztany z ognia. Zniszczenie Związku Radzieckiego oznaczało bezpośrednio, śmiertelne niebezpieczeństwo ze strony hitlerizmu dla krajów kapitalistycznych — i tego oni nie chcieli, ale zniszczyć Związek Radziecki oznaczało także cofnąć bieg historii o wiele mil wstecz — i tego oni gorąco pragnęli. Ta sprzeczność nazwana została teorią „wykrwawienia się dwóch wrogów”, zbrodniczą teorią, która w języku bardziej prostym, w języku faktów znaczyła: ociąganie się ze stworzeniem drugiego frontu w Europie, przedłużanie męczeństwa narodów, przedłużanie męczeństwa także tych ludzi, którym umawiano, że żołnierz radziecki walczący o wolność swoją i ich — jest „drugim wrogiem”. Stalingrad zadał klamę tej zbrodniczej teorii. Rozwiał złudne nadzieje tych, co liczyli na to, że obezwładnione przez hitlerizm państwo radzieckie przestanie się liczyć, jako siła historyczna. Nade wszystko zaś wbrew wszelkim teoriom i teoryjkom stworzył nieodpartą prawdę historyczną, której sens prędzej czy później dotarł do świadomości narodów.

Zwycięstwo stalingradzkie nie było łatwe. Zapewniały je dwa podstawowe czynniki: mądrość strategii stalinowskiej i wyzwolenie charakter. Oba te czynniki zespolone z sobą przyniosły też zaraz po Stalingradzie szereg coraz to nowych sukcesów, doprowadzając Armię Radziecką do serca hitlerowskich Niemiec.

Dziś Stalingrad odnosi nowe zwycięstwo. Zwycięstwo odbudowy i pracy dla pokoju. I na to zwycięstwo składają się dwa podstawowe czynniki: pokojowa polityka stalinowska i społeczno-wyzwolenie charakteru trudu ludzkiego mas ludowych, budujących lepsze życie we własnym domu.

W chwili, gdy na Zachodzie powstają siły prące ku nowej wojnie trzeba — w 10-tą rocznicę Stalingradzkiej bitwy — w rocznicę 1-tą, która przypomina o klęsce agresorów i zwycięstwie sił broniących słusznej sprawy — mówić jasno: miliony ludzi różnych narodów rozumieją coraz lepiej, że 2 lutego 1943 roku pod Stalingradem ocalono ich dom; wola milionów ludzi ocala dziś domy Stalingradu i szczęście wszystkich domów świata.

Tadeusz Mazowiecki

# O jedności i samodzielności

o pozytywne siły, które w codziennym życiu powinny się wyzwalać pod wpływem przyjętego systemu wartości chrześcijańskich. Chodzi o twórczo mobilizujące oddziaływanie tego systemu wartości w ramach określonej cywilizacji. Bo religia nie może rozwijać się poza, ani wbrew cywilizacji, w której żyje. Tak, odpowie ktoś, ale ta cywilizacja, która powstaje na gruzach cywilizacji mieszczańskiej jest zdecydowanie achrześcijańska.

Czy istnieje jednak obowiązujący chrześcijański, a ściślej mówiąc — katolicki, konkretny wzorzec struktury życia zbiorowego? Nie istnieje i istnieć nie będzie. Zamiast więc troszczyć się o epitety chrześcijański i achrześcijański trzeba zrobić wszystko, aby włączyć siły katolicyzmu w wysiłek ogólnospołeczny, gdyż tylko wówczas można będzie wpływać na zgodny z chrześcijańską normą użytek czyniony z dóbr cywilizacji.

W tym kierunku muszą iść przemiany w świadomości współczesnego katolika, jeśli katolicyzm nie ma się stać siłą martwą i skostniałą.

Nie chodzi tu o adaptację, czy tendencję do jakiegoś przekształcenia katolicyzmu — chodzi o to, by był żywy i zdolny do życia w przyszłości. Powyższe refleksje nad dokonywanymi się przemianami w świadomości katolików zawisły by w próżni, gdyby tych teoretycznych rozważań nie sprowadzić na grunt konkretny i nie nawiązać do sytuacji polskiej w roku 1953.

Jesteśmy pierwszym większym krajem katolickim, który przeżył rewolucję socjalistyczną. Pierwszym krajem, który tworzy precedensy dotychczas dla życia katolicyzmu w przyszłym świecie socjalistycznym. Tymczasem w starym świecie mnożą się akcje polityczne, wrocie całemu blokowi państw budujących socjalizm. Wrogość ta rośnie i wyraża się coraz bardziej i aktywnie.

Oczywiście towarzyszy jej zupełny brak zrozumienia najbardziej elementarnych i palących problemów, którymi żyje cały nasz kraj.

Jak, wobec tej przepaści, którą wykopała nienawiść do wszystkiego co nowe, zachować uniwersalny charakter Kościoła Powszechnego?

Jak zachować to, co stanowi najistotniejszą i niezmienną cechę Kościoła.

Ażeby odpowiedzieć na to pytanie trzeba przyjrzeć się nieco bliżej charakterowi związków, jakie w różnych epokach łączyły w jedną całość społeczeństwo katolików. Oczywiście, mowa tu o tych związkach, które mogą podlegać historycznej analizie krytycznej — nie o mistycznej, ale socjologicznej więzi.

Aby nie przedłużać nadmiernie tego wywodu wystarczy przypomnieć, że niegdyś dla realizacji swych religijnych celów Kościół posługiwał się także bezpośrednio władzą polityczną. Państwo Kościelne, zorganizowane podobnie do ówczesnych państw świeckich stało na straży autorytetu władzy Kościoła. Sądzić można, że na ówczesne stosunki i pojęcia feudalne było to konieczne. Naczelna idea powszechności, wyrażająca się we władzy biskupa Rzymskiego, musiała znajdować odpowiednik i polityczne poparcie w jego doczesnym znaczeniu i potęgę. Przychodzą jednak czasy, w których zaangażowanie Państwa w międzynarodowe rozgrywki nie wychodzi na dobre Państwu, a co zatem idzie — i Kościołowi. Państwo Kościelne kurczy się i wreszcie faktycznie zanika. Warto tu zwrócić uwagę na fakt, że ostateczna likwidacja państwa Kościelnego zbiega się w czasie z ogłoszeniem dogmatu o nieomyślności papieża w sprawach wiary i moralności.

Jakie wnioski płyną z tych zaledwie naszkicowanych procesów ewolucyjnych? Ukazują one, jak w miarę dojrzwania świadomości katolików, w miarę rozwoju form społecz-

Dokończenie ze str. 1

negu życia, wreszcie w miarę ogarniania różnorodnych kręgów cywilizacyjnych *powszechna wspólnota Kościoła Rzymsko-Katolickiego staje się coraz bardziej dotycząca istoty wiary — coraz bardziej powie-dzialnym merytoryczną, zaś coraz mniej formalna i mechaniczna*

Faktyczna jednak likwidacja państwa Kościelnego, eliminując Kościół z gry międzynarodowych potęg — nie przecięła związków, jakie go łączy z władzą polityczną. Równocześnie jednak ukazana wyżej korzystna ewolucja dojrzwania autentycznej moralnej wspólnoty katolickiej musi nadal eliminować Kościół, w szczególności zaś jego widzialną Głowę od bezpośredniego wykonywania władzy politycznej.

W świetle tych wywodów łatwiej odpowiedzieć na postawione wyżej pytanie: jak w obecnych trudnych warunkach podzielać święta uszrecz jedność Powszechnego Kościoła i z drugiej strony służyć warunkom jego rozwoju w kręgu działania podstawowego prawa ekonomicznego socjalizmu.

Odpowiedź narzuca się sama. Nie sposób tego dokonać bez ścisłego ograniczenia spraw wiary i moralności, gdzie obowiązuje katolika bezwzględne posłuszeństwo — od całej pozostałej obszernej dziedziny nieograniczonej bezpośrednim posłuszeństwem wolności i twórczości, niezbędnej dla udziału katolików w nowym świecie socjalizmu. Jeżeli w świadomości ogółu katolików ta segregacja nie zostanie przeprowadzona — powszechność Kościoła musi być narażona na rosnące niebezpieczeństwa.

Trzeba bowiem zdawać sobie sprawę, że z każdym rokiem coraz bardziej rozchodzą się nasza droga i droga mieszczańskiego Zachodu. Nawet ludzie obcy socjalizmowi i stojący na uboczu od nurtu przemian współczesnych stracili już wspólny język z mieszczańskim Zachodem. Wszystko więc, co obciążone wpływami imperializmu przyjąć może stamtąd, jeśli nie jest wrogiem, jest w każdym razie zupełnie bezużyteczne w rozwiązywaniu praktycznych, doczesnych problemów życia społecznego.

Ten postępujący szybko naprzód proces oddzielania się od społecznych i politycznych problemów, którymi żyje zachodni, stary świat ogarnia także i katolików. W tych warunkach naczelnym zadaniem jest utrzymanie jedności Kościoła Powszechnego ponad — różnice polityczne i społeczne, na płaszczyźnie istotnych spraw religii.

W tym punkcie dotknęliśmy pośrednio poruszanej wielokrotnie na łamach „Dziś i Jutro” sprawy transcendencji Kościoła wobec zmieniających nurtów historycznego rozwoju. Szczególnie w czasach przełomu jest niezbędna stała świadomość tego, co stałe, a co zmienne. Niezbędna jest także szeroka perspektywa historii, aby na zakręcie jej drogi nie stracić orientacji.

Właśnie wytykany, rozpowszechniony błąd immanencji politycznej stanowi najniebezpieczniejsze zagrożenie powszechności Kościoła. I dlatego tak trudnym zadaniem jest utrzymanie nici wspólnoty pomiędzy społeczeństwem rozsianym przestrzennie po całym świecie i poza religią pod każdym innym względem zróżnicowanym.

Trzeba tu jednak zaznaczyć, co już nieraz czyniono, że ukazywanie błędów immanencji politycznej i podkreślanie transcendencji Kościoła wobec historii nie ma i nie może mieć nic wspólnego z tendencją oderwania katolicyzmu od płaszczyzny realnego życia, w którym on tkwi. Rzecz prosta wszyscy poszczególni katolicy są zaangażowani w życie społeczne. Co więcej, są oni zaangażowani nie

tylko jako jednostki. Katolicy w Polsce — to społeczeństwo wierzących, żyjących w tych samych warunkach, ożywionych pewnym wspólnymi celami doczesnymi całego narodu i poszukujących własnych dróg do realizacji zarówno tych doczesnych jak i pozadoczesnych celów Jedności Kościoła Powszechnego przedstawia się nam jako jedno transcendentalne, religijne. Katolików polskich łączy także więź społeczna, wynikająca z faktu życia w określonych warunkach społeczno-gospodarczych.

Na płaszczyźnie życia narodu dokonuje się zetknięcie Kościoła z cywilizacją, w ramach której rozwija On swą misję religijną. Nie tylko zetknięcie się, ale związanie się wzajemnymi zależnościami, bowiem be-nawiazania wzajemnych zależności niemożliwa stałaby się nauczycielska i apostołska praca Kościoła.

Problem odrębności narodowej zasługuje na szczególne podkreślenie w tych rozważaniach nie tylko ze względu na możliwe obecnie, tak samo, jak w przeszłości, konflikty interesu narodowego i polityki Kościoła, jako całości. Konflikty te powstają przede wszystkim na skutek zaangażowania się władz kościelnych w międzynarodową grę polityczną. Jeśli poruszamy tu sprawę narodu, to czynimy to z myślą nie o możliwych konfliktach, ale o czekających na dokonanie zadaniach. Katolicy w Polsce, z ich hierarchią na czele, powołani są do tego, aby samodzielnie rozwiązywać trudności, jakie z konieczności powstają przy zetknięciu się katolicyzmu z rewolucją i nową strukturą życia społecznego, jaką ona niesie.

Powszechna u katolików świadomość samodzielności i odpowiedzialności jest nam potrzebna bardziej, niż kiedykolwiek. W obecnych warunkach samodzielności ta nie sprzeciwia się zasadzie jedności Kościoła i posłuszeństwa w sprawach wiary i moralności, ale z tych zasad wypływa.

„Posłuszeństwo — mówi ojciec de Lubac — znające tylko nakazy, jest całkowicie niewystarczające — nawet, gdy dla zapewnienia całkowitego, wciąż doskonałego wypełnienia tych nakazów, odwołuje się do woli i sądu. Szczególnie w życiu duchowym, które nie polega na gestach. Dobrą rzeczą jest wierne, ścisłe i całkowite wypełnienie przepisów władzy religijnej. Ale dopóki tylko na tym poprzestajemy, nie zaczęliśmy jeszcze słuchać. Za cel bierzemy wówczas to, co jest zaledwie środkiem; za czyn to co jest jego warunkiem. Tak fałszujemy ideę katolicyzmu (de Lubac „Paradoxes” podkreślenia nasze).

Katolicy w Polsce zarówno indywidualnie, jak jako całość muszą zacząć słuchać w tym wyższym, doskonalszym znaczeniu.

Poruszono tu problematykę przemian, dokonywających się w świadomości katolików. Oczywiście nie pozostają one w oderwaniu od pewnych równoległych, koniecznych przemian w strukturze Kościoła i metodach Jego pracy apostołskiej. Te sprawy jednak wykraczają poza kompetencje i możliwości piszącego, chociaż zwrócenie na nie uwagi jest dziś szczególnie palące.

Dotyka to zagadnienia przemian dokonywających się nieustannie w historii w Kościele. Obecne jednak przemiany, których domaga się życie, nie mają nic wspólnego z tymi tendencjami odśrodkowymi, które znamy z historii, a które przeciwstawiały interesy narodowej społeczności katolickiej doczesnemu interesowi Kościoła.

Współczesna tendencja, zmierzająca do przystosowania zewnętrznych form, jakie przybiera więź katolickiej jedności, nie jest w swej istocie odśrodkowa. Jest to wysiłek, skierowany ku utrzymaniu integralności Kościoła ponad różnicami politycznymi i społecznymi.

Andrzej Krasieński



Wojciech KETRZYŃSKI

# O M O R A L N O Ś C I

W świetnie napisanym artykule stawia nam Paweł Jasienica na łamach Nowej Kultury problem odpowiedzialności katolicyzmu za zbrodnie społeczne świata kapitalistycznego. Problem nie nowy. Nim dotknęło go pióro Jasienicy, był już wielokrotnie i wszechstronnie naświetlany. Myśl katolicka również nie stroniła od rozważań na ten temat. By nie szukać daleko możemy stwierdzić, że nie z czego innego, ale właśnie z troski o pogłębienie i właściwe ustawienie tej odpowiedzialności społecznej zrodziła się nasza postawa ideowa a problematyka ta stanowi centralną oś publicystyki „Dziś i Jutro“ przez całe siedem lat jego istnienia.

Jasienica przeszedł do porządku dziennego nad tym wszystkim, co wokół tej sprawy zostało powiedziane, w ciągu ostatnich lat, po stronie katolickiej — w Polsce i poza jej granicami. Stąd też wniosek ostateczny brzmi u niego surowo i bezapelacyjnie „koniec pewnej moralności“ — innymi słowy: koniec moralności chrześcijańskiej.

Znajdujemy w wyznaniach Jasienicy zbyt wiele akcentów żarliwej szczerości, zbyt wiele słuszych argumentów i spostrzeżeń, by wolno nam było z kolej pominąć milczeniem, czy prostym zaprzeczeniem ów ostateczny wniosek, z którym się w sposób oczywisty nie zgadzamy. Przeciwnie, tym bardziej czujemy się w obowiązku sprecyzować wyraźnie w czym z jego tezami jesteśmy zgodni, a gdzie upatrujemy jego błędy czy nieporozumienia.

Plaszczyzna formalna tej konfrontacji poglądów nie jest łatwa do znalezienia. Jasienica dostrzega katolicyzm tylko i wyłącznie w jego wymiarze socjologicznym. Inaczej mówiąc, dla niego katolicyzm nie jest w ogóle religią, transcendencją nie istnieje, tak jak nie ma rozróżnienia między doczesnym a poza doczesnym. Dla Jasienicy katolicyzm jest tylko i wyłącznie systemem praktycznego postępowania. Rzecz oczywista trudno wymagać od Jasienicy, wychodzącego w tej rozprawie z pozycji ściśle materialistycznych, by przyjmował spirytualistyczne założenia katolicyzmu. Nie mniej jednak trzeba u niego pominąć się o to, by nie zapominał, że katolicyzm jest przede wszystkim religią, czyli zbiorem zasad i przykazań zapewniających człowiekowi możność zbawienia swej duszy. Tę kwintesencję chrystianizmu, transcendentną wobec historii, Kościół Katolicki przynosi poprzez wieki i dąży do szeptenia na każdorazowych formach życia ludzkiego.

Jeśli, stając na pozycjach światopoglądowych sprzecznych z założeniami katolicyzmu, Jasienica, rzecz oczywista, musi negować nadprzyrodzony charakter religii i Kościoła, powinien jednak uznać co najmniej specyficzny charakter przekazu ewangelicznego, mieszczącego się nierozdzielnie w katolicyzmie. Gdyby tak rozumował, musiałby przyjąć tezę, że to nie treść przekazu ewangelicznego została skompromitowana praktyką społeczną świata kapitalistycznego, a tylko, że świat ten okazał się całkowicie niedostępny dla założeń moralności chrześcijańskiej. Teza taka kwalifikowała by się jako plaszczyzna konfrontacji światopoglądowej.

Pierwszy błąd rodzi następny. Nie posiadając żadnego merytorycznego sprawnego na to, kto zasługuje na miano chrześcijanina, katolika, a kto nie, Jasienica zadawała się najzupełniej formalną metryką. Metryką tradycyjnego, bezkrytycznego określenia jakiegoś środowiska jako chrześcijańskiego, gdy zachowuje pewne zewnętrzne obyczaje o podobnej nazwie. W stosunku do katolików niemieckich, zjawisko to charakteryzuje do-

bitnie prałat koloński ks. Robert Grosche:

„Mamy jeszcze w niedziele wypełnione kościoły. Jest jeszcze coś w rodzaju atmosfery katolickiej. Ludzie ci praktykują swój katolicyzm tak, jak czynili to ich rodzice i jak się tego sami nauczyli w swej młodości. Biorą udział w życiu religijnym i trzymają się przepisów Kościoła. Nie zdają sobie jednak z tego sprawy, w jak wielkiej mierze ich katolicyzm jest rzeczą tradycji, jak bardzo wiara ich niejednokrotnie nie jest niczym innym, jeno żalonym deizmem...“

„Zawiedlibyśmy się jednak sami, ostrzega autor, gdybyśmy nie chcieli dostrzec, że ten tradycyjny chrystianizm, który jeszcze przed pięćdziesięcioma laty żył rzeczywiście substancją religijną, dzisiaj staje się całkowicie pustą lupiną, która któregoś dnia będzie wyrzucona...“

Jasienica zatrzymał się na przykładzie zbrodni hitlerowskiego metrykalnego katolika, Rudolfa Hoessa. Wziął pod lupę jego mentalność i osądził ją. Myślał jednak, że wyraża ona kwintesencję postawy chrześcijańskiej. W rzeczywistości była to tylko pusta, odrzucona lupina.

Gdyby nie ta właśnie sugestia, nigdyby zapewne Jasienica nie sformułował tak nielogicznego zdania: „Etyka żadnego z chrześcijańskich systemów nie zezwala na takie rzeczy jak Oświęcim, który, pomimo to zorganizowany został przez chrześcijan“. Jeśli bowiem etyka chrześcijańska na to nie zezwala — nie mogli być obiektywnie chrześcijanami ci, którzy wbrew własnym zasadom konsekwentnie postępowali.

Hitler niegdyś powiedział: „Sumie nie jest wymysłem żydowskim i okaleczeniem człowieka — jesteśmy i chcemy być barbarzyńcami, bo to jest tytuł zaszczytny — musimy być okrutni; okrucieństwo i brutalna siła imponują masie — człowiek należy w sobie przewyciężyć“. Nie może w żadnej mierze być uważany za chrześcijanina człowiek, który, choćby tylko milcząco przyjął te słowa jako swój program.

Gdzie indziej Jasienica stwierdza, że Hoess — „niezachowanie w to wierzył, że jego moralnym obowiązkiem jest ślepe posłuszeństwo wobec człowieka, który w ręku swym dźwierzł losy „tysiącletniego Reichu“, walczył o „przyszłość ojczyzny“, o jej „misję cywilizacyjną“ w świecie“. Jakkolwiek poważne mogły być, i były błędy polityczne i ideowe przywódców katolickich (z Episkopatem Niemiec włącznie) — zasada „ślepego posłuszeństwa wobec człowieka“ nie może być dla katolika „moralnym obowiązkiem“. Byłoby to bowiem nie innego, jak czynienie z człowieka — Boga, tak jak to czynili właśnie po swojemu hitlerowcy ze swym „Führerem“. Nie ma postawy bardziej sprzecznej z zasadami katolicyzmu!

Jeśli więc Jasienica sam stwierdza, że w pamiętnikach Hoessa nie ma mowy, z okazji wstąpienia do partii Hitlera, „o żadnym przełomie wewnętrznym, o rewizji dotychczasowych pojęć moralnych...“ to znaczy to po prostu, że Hoess, mimo zachowywania pewnych pozorów, mimo, może nawet wewnętrznych przeświadczeń — w rzeczywistości nie był w ogóle katolikiem. Już wówczas był najdalej od zasad chrześcijańskich, a co dopiero mówić o tym czym był, gdy organizował obóz śmierci w Oświęcimiu.

JESZCZE w jednej dziedzinie przeszedł Jasienica po linię najmniej szego oporu, wybierając jako pole swych obserwacji nad zagadnieniem „kresu pewnej moralności“ — tylko i wyłącznie teren niemiecki. Trzeba stwierdzić obiektywnie, że bardziej krytyczni obserwatorzy katolickiego życia publicznego już długo przed wojną przestrzegali swoje własne społeczeństwo i opinię światową przed groźbą załamania się chrześcijaństwa niemieckiego. Może najmocniej, najkonsekwentniej przestrzegał chrześcijan Fryderyk Wilhelm Foerster:

„Należy do tragizmu niemieckiego chrześcijanina, iż nie widzi on logicznego związku, jaki istnieje niewątpliwie między dzisiejszym zagrożeniem wiary ze strony nacjonal-socjalizmu, a zdradzającą brak charakteru zgodą chrześcijan na całą najnowszą ewolucję niemieckiej polityki realistycznej“.

Niestety, słowa te nie były usłyszone, ani zrozumiane we właściwym czasie!

Niemniej Jasienica, w swej „podróży do kresu pewnej moralności“ powinien się czuć zobowiązany do objęcia swą analizą całokształtu problemu, a nie pewnego tylko jego wycinka. Nie mógłby wówczas nie zauważyć, że obok „chrześcijan“ katów z Oświęcimia byli także chrześcijanie — ofiary Oświęcimia, ofiary świadome, dające tam właśnie świadectwo swej moralności. Byli ludzie tacy jak prałat Kaas, czy Petain oddający władzę i środki rządzenia w ręce Hitlera, ale byli i tacy katolicy, którzy, ręka w rękę z podziemiem komunistycznym we Francji — walczyli konsekwentnie przeciw faszystom. Takie postacie jak bohaterscy księża z włoskich filmów realistycznych — „Rzym, miasto otwarte“, „Gdy słońce wschodzi“, lub szwajcarskiego „Ostatnia szansa“ — nie są przecież czczym, propagandowym wymysłem.

To są wszystkie fakty socjologiczne, które zasługują na rozpatrzenie na równi z tymi, które przynoszą moralności chrześcijan współczesnych świadectwo negatywne.

Gdyby Jasienica analizy tej dokonał sumiennie i dokładnie — musiałby sformułować jeszcze jeden wniosek, iż byli i są różni katolicy, różni chrześcijanie — postępowi i reakcyjni, konsekwentni i niekonsekwentni, wypełniający przykazania i zdradzający Ewangelię.

Jest skądinąd zjawiskiem charakterystycznym, że, nim Jasienica dał swą analizę sylwetki moralnej Hoessa, dokonał tego samego, na łamach katolickiego „Słowa Powszechnego“ na pół roku wcześniej Zygmunt Przetakiewicz w głośnym już dziś artykule „Wróg pozostał ten sam“. Wnioski z tego artykułu poparła sześć lat, ogólnokrajowa dyskusja, w której wypowiedzieli się przedstawiciele postępowej części katolików polskich. I tego zjawiska socjologicznego Jasienica również nie skwitował w swej wypowiedzi.

O kres jakiegóż moralności tu właściwie chodzi? Jasienica precyzuje to sam w pewnej chwili, jakkolwiek nie wyciąga z własnych wniosków dostatecznych konsekwencji. Pisze on bowiem o „tradycyjnych systemach moralności“, dodając dalej następujący komentarz: „Zwiemy je zazwyczaj chrześcijańskimi, zapominając ile do nich wniosta laicka rewolucja 1789 roku. Stosunek więc mają ci,

którzy mniej podniosło mianują je po prostu mieszczańskimi“.

W istocie do tego się sprowadza istota naszej dyskusji. Czy to zjawisko, z którym mamy do czynienia, z okazji analizy zachowania się różnorodnych Hoessów winniśmy zaliczyć do problemów mentalności upadającego mieszczaństwa, czy też rzekomego kresu moralności chrześcijańskiej?

Jasienica jest zbyt dobrym znawcą historii, by trzeba mu było przypominać dzieje wzajemnych stosunków Kościoła Katolickiego i klasy mieszczańskiej. Jasienica wie też doskonale, że mieszczaństwo, w swym okresie bohaterskim, formowało sobie własną moralność, odrywając się zupełnie od chrześcijańskich założeń etycznych. Stanowisko to sprecyzowało się w ciągu XIX wieku w sposób bardzo wyraźny w formie liberalizmu filozoficznego, moralnego, ekonomicznego. Trudno by było udowodnić, iż katolicyzm godził się kiedykolwiek z zasadniczymi założeniami liberalizmu. A przecież nie co innego jak prądy umysłowe mieszczańskiego liberalizmu ukuły na własny użytek tezy o rozdziale moralności osobistej i społecznej, otworzyły drogę do najpotworniejszych nadużyć społecznych, w stosunku do klasy robotniczej w Europie, w stosunku do świata kolorowego w koloniach. One stworzyły podbudowę, na której oparła się następnie cała ideologia faszystów i imperializmu kapitalistycznego.

MIMO tych oczywistych nieporozumień zawartych w rozumowaniu Jasienicy, praca jego zawiera spostrzeżenia i wnioski obok których nie wolno nam przejść obojętnie.

Jeśli bowiem jest faktem, że mieszczaństwo, w chwili gdy jako klasa zaczęło się rozkładać i tracić władzę, świadomie zaczęło nadużywać religii, tak dla celów propagandowych, jak i dla uspokojenia własnego sumienia, to musimy przyznać autorowi rację, że ze strony katolickiej zbyt mało było reakcji wobec tego niebezpieczeń-

stwa. Zbrodnie społeczne kapitalizmu zostały po stronie katolickiej bezwzględnie pod koniec XIX wieku zauważone. Nie umieliśmy jednak skutecznie im się przeciwstawić. Szukając kompromisów proponowaliśmy półśrodki. I te zazwyczaj były ignorowane. Problem kolonialny w ogóle nie został po stronie katolickiej na czas dostrzeżony. Zafascynowani szerokimi możliwościami pracy misyjnej w krajach dotąd niedostępnych w istocie zamykaliśmy oczy na to wszystko, co w koloniach było nie nadużywanym, ale systemem, świadomym systemem wyzysku i niewoli. Oczywiście były po stronie katolickiej protesty, może najgłośniejszą stała się działalność ojca Lebbe w Chinach. Nie miały one jednak żadnej szansy zmiany powszechnie panujących stosunków. We Francji, katolicy dopiero obecnie odkrywają całą niemoralność rządów kolonialnych w Afryce i w Viet-Namie.

Faszystów, Jasienica ma tu zupełną rację, przeniósł po prostu na grunt europejski te same zasady postępowania, jakie dotąd obowiązywały w świecie kolonialnym, jakie były w praktyce stosowane w walce kapitalistów z proletariatem. Zastosował je tylko na o wiele większą skalę. Jest faktem, że epoka narastania władzy faszystowskiej charakteryzuje się brakiem poważniejszego oporu wśród reprezentantów społecznej myśli katolickiej. Ksiądz Kaas, przekazujący w imię katolickiego Centrum władzę w ręce Hitlera nie jest tu niestety wyjątkiem. Wszędzie, gdzie pojawiały się ruchy faszystowskie, spotykały się one, co najmniej w pierwszym okresie, z jawnymi sympatiami w środowiskach katolickich. Można dziś tłumaczyć, że nie doceniano niebezpieczeństwa, jakie te ruchy niosły dla światopoglądu katolickiego, że reakcje pozytywne wobec nich wychodziły zazwyczaj z kół najbardziej konserwatywnych, które szukały w faszystach zandarma, który by je bronił przed rewolucją społeczną. Niemniej jest faktem, że wiek XX świadczy najzupełniej wyraźnie o tym, że środowiska mieszczańskie zdołały w

(Dokończenie na str. 11)

Konrad HEL

## TRWANIE

Choćbym najdalej odszedł — jestem.  
Choćbym najdalej zaszedł — będę.  
Niestartym cieniem zamknij przestrzeń  
odległość moją jak przysięgę.

Odchodzę z każdą chwilą dalej...  
Powracam echem własnych przemian,  
a profil mój powietrze trwali  
i kształt prawdziwy zwróci ziemia.

## KONTRASTY

Czasy, których jedyną radością była myśl — przeżyłem,  
w których matki wraz z chodzeniem uczyły ucieczki  
od śmierci, a miłości i nienawiści wspólnie  
były czasami ludzi żywych i umarłych.

Żywi, dla których życie było formą śmierci,  
umarli dla których śmierć była formą życia,  
podobni do siebie twarzą, czynią, postacią,  
byli tak bardzo różni i tak niepodobni.

Ludzie, którzy swym życiem zaprzeczali życiu,  
ludzie, którzy swą śmiercią zaprzeczali śmierci -  
po trzykroć zaprzeczając i po trzykroć twierdząc  
dali rzeczywistości trwały kształt człowieka.



Alfred GERARD

# Czucie z rzeczy w istotnością

(Na marginesie książki A. Rudnickiego „Żywe i martwe morze”)

Pierwsze opowiadanie zawarte w obrębie tego tomu nazywa się „Józefów”. Jest to historia przedwojenna. Komunistą zniszczony w więzieniu, umiera na płuca w drewnianym domku. Letnisko. — Sosny i piaski. Miejscowość podwarszawska. Sąsiadem konającego jest pisarz. Co ro bi? Przewycięża swój bezwład wewnętrzny. Jednocześnie obcuje ze śmiercią. Tak. Jednego poera gruźlica, drugiego przesładuje brak doskonałości. Też śmiertelność bakterii... Ale czytajmy dalej. W tej chwili autor robi rzecz ryzykowną. Ucieka od ludzi do tła. Daje przepyszny portret czegoś, co już przestało być wsią a jeszcze nie przekształciło się w miasto. Ten fragment żyje jakby osobno i niezależnie, od tych dwóch już blisko nas obchodzących postaci. — Bohaterów na chwilę przesłania. Pytanie: czy nie można było przedstawić ich razem z całym otoczeniem? Wymaga tego przecież klasyczna kompozycja.

Ktoś przypomina zasadę: w dobrze zamkniętej noweli, partie opisowe nie rozrastają się nigdy tak, żeby nie było widać osób działających. Powinny zostać wtopione w bieg akcji. Dobrze, ale tu przecież idzie o kontrast. Rudnicki wiedział po co włącza tu ów wakacyjny pejzaż z okresu lipca i sierpnia. Na skutek tego zestawienia śmierć w grudniu nabiera niespotykanej ostrości. Tak. U tego pisarza wszystko jest celowe. Nawet pozorne odstępstwo. Tu nie można formułować zarzutów ezkolarskich. — Dopisuję z boku: wnikać w intencje autora. Zdobać się na nieufność wobec swoich racji. Wiedzieć, że one cię w jakiś sposób ograniczają. — Finał. Bohater umiera w Polsce. Oświetla go luna wojny hiszpańskiej. Dobrze, ale do poematu. Tu mówi się przecież o dwa tony wyżej. W toku potocznego opowiadania, które nie zostało napisane prozą poetycką obraz tego rodzaju staje się patetycznie jaskrawy. Konwencja realistyczna zawodzi.

Powiedzmy. Ale tak wypadło ro zumować dwadzieścia lat temu. Dziś kiedy można widzieć i słyszeć cały świat przez radio, podobne zastrzeżenia właściwie nie mają już sensu. Przystaliśmy wierzyć w istnienie rzeczy dalekich i bliskich. Wiemy, że każda bitwa w Korei decyduje o naszym istnieniu. Współbrzmienie wielu rzeczywistości musiało pociągnać za sobą rewolucyjną przemianę środków ekspresji. Świat zdaje się przescigać fantazje wszystkich piszących. Realisji dawnego autoramentu nie będą mu mogli nadać. Wyraźniej przeksztalcające nasz byt były dziełami wyobraźni zanim stały się rzeczywistością. Nie ma wielkiej techniki bez torującego jej drogie marzenia. — Uwaga!

Przychodzi najważniejszy moment. Pisarz patrzący na śmierć, przestaje zajmować się sobą. Rudnicki tak go określa: „...czulem się wobec tego życia, wobec tej śmierci i wobec tej wiary jak pies pokorny. I pełen winy. Zbyt wiele wiedziałem z tego, co wymykało się uwadze Joela lub co — rozmyślnie może? — pozostawiał nie domówione. Ze wielu w naszym pięknym zawodzie powołanych, lecz wybranych mało. Dla niego twórczość nie miała szczytów, ja znałem ich ty siące, dziś tak samo nie do przebycia jak wczoraj. Czulem swą winę i słabość. Nie mówiłem za niczych. I nie miałem dziur jak grochy w płucach. Jakież musiało być moje wolanie aby zrównoważyć te grochy w płucach! Gnębił mnie wstyd. Zastęga, stała się pod nogi małości... Nie czulem się godzin. — Wy, — wolał swym ochryplym głosem — wy musicie być w awangardzie! W awangardzie! — Oczy gorzały mi w głębokich wyłobieniach...” (str. 17). Taki testament zobowiązuje. Wyzwała troski sumienia. Będziemy ich w książce szukali...

Zasadnicze pytanie brzmi tak: Z jakimi trudnościami zmagają się pisarze pragnący sprostać rzeczywistości współczesnej? Problem ten ciągle powraca. Rudnicki ukazuje nam jego

genezę. W utworze zatytułowanym: „Kartka znaleziona pod murem strażnicy” mówi o literatach, którzy w czasie okupacji nie byli w stanie pojąć znaczenia i sensu swych dzieł wydanych w Polsce przed wrześniem 1939. Przytaczam to dramatyczne wyznanie: „Wojna postawiła to, co napisałem, o tysiąc lat. Czytam się bie pełen zdumienia. Czytam w złości i dezaprobie. Czytam i nie poznaję. Od moich książek bije dusza noś papierów porzuconych na strychach. Wojna już je spaliła, choć nie tknęła jeszcze ich materialnego kształtu. Refleks wielkich pożarów odebrał czytelność stronicom, nie kształcił je jak pocisk więzienia mostu. Życie uszło z nich jak ze stopu pod ugniatem czołgów. Moja sztuka wyduje mi się nędzna! Nędzna!...” (str. 127). Czasem trzeba bronić artystę przed nim samym. W sytuacji, gdzie rzadko kto bywa z siebie niezadowolony, taka wypowiedź zdumiewa. Zresztą Rudnicki nie ogranicza się w danym wypadku do samokrytyki. On przemawia w imieniu swego pokolenia!

Zasadnicza diagnoza jest jasna. Dziś prawie wszyscy zgadzają się na to, że wiele powieści polskich, napisanych piętnaście lat temu, nie nadaje się już do niczego. Są to rzeczy tu pełnie przebrzmiałe. — Hm. Łatwo to skonstatować. Ale dlaczego ten okres pozostawił po sobie tak wiele martwych pozycji? I co robić, żeby książka dziś przez nas pisane nie powiększyła cmentarza kultury? Wiadomo, że to co przeciętne nie dorasta do każdej rzeczywistości. Najczęściej ginie wraz z tą, którą dosłownie, czyli potocznie, wyraża. Artysta musi umieć spojrzeć „z zewnątrz” na rzeczy sobie najbliższe, — do tego sprowadza się wszystko. Jeśli przedmiot poznania istotnie warunkuje strukturę narzędzi, to byt określa nie tylko świadomość lecz narzuca też sposób ujęcia swoich uchwytnych proporcji. Teza ta brzmi ryzykownie, ponieważ zawiera tylko pół prawdy. Należy ją uzupełnić. Zdarza się prze

cież, że styl niegdyś zrozumiały dla kilkunastu smakoszy, bardzo szybko zatraca swe sugestywne własności a dziś nic już po prostu nie znaczy. Wyzwała tylko głuchość i śmiech, lub obojętność następujących po sobie pokoleń. Mówi się wtedy, że pisarz przemówił do szupłego grona, bardzo specyficznym i tylko jemu dokładnie znanym językiem. Pokusa by wtajemniczać i być wtajemniczonym, prędzej czy później, pociąga za sobą ów dożywny i hermetyczny stan odosobnienia wiodący w stronę układow społecznie zamkniętych. — Nie próbujmy tu nikomu wmawiać, że starzejemy się przede wszystkim tak zwane środki ekspresji. Było by to napewno niesłuszne i lekkomyślne twierdzenie. Wystarczy przypomnieć losy „Matusza Bigdy” by zdać sobie sprawę z obiektywnych przyczyn starczego uwiędnięcia, spełniającej niegdyś określone funkcje polityczną. Ilekroć autor utęszamia własny punkt widzenia z interesem klasy odchodzącej, nawet talent nie może go ustrzec przed stworzeniem książki fałszywej i miernej. „Lenora”, „Tadeusz” i „Bigda” legły gdzieś, „w cieniu zapomnianej olszyny”, bo co kogo może obchodzić paszkwil pozostający na usługach przegranego świata?

Tak. Ale tu nas co innego obchodzi. Mamy na myśli konkretną sytuację. Pokazano nam literata, który nienawidzi swej przedwojennej twórczości, uczy się pisać na nowo, chce zdobyć sekret przetrwania. Rzeczywistość miniona pozbawiła go swoich konwencji po to, by zrobić miejsce dla czegoś wręcz przeciwnego. Kiedy przewalił się wrzesień 1939, przestała działać wyobraźnia ćwiczona na drobnoustrojach. Zawiódł psychologizm, bo nikomu nie mogła wystarczyć psychologia indywidualna, a innej właściwie nie było. Inteligent wyprzedzony na szosę przez bomby, przeszedł potem przez obóz i wojsko. Zrozumiał, że zbiorowość była dlań dotąd obcym ciałem, czymś doświadczanym jedynie w odcinkach. Artysta zamknięty w swoim środowisku znał na ród tylko z imienia. Ujrzał go w świetle eksplozji, a kiedy przyszedł do siebie, zaczął szukać nowego sposobu mówienia o tym, co ciągle jeszcze zdawało się być niepojęte. Specjaliści przystąpili do zrewidowania zasobów literackiego warsztatu. Zaczęto dopasowywać narzędzia do treści wielkich wydarzeń. Ekspresjonizm nie mógł być chwytem stosowanym w momencie, gdy nie wypadło po prostu „zdziwniać” czy potęgować wyrazu zjawisk obywatelskich bez naciskania pedału. Dynamika wojny przerosła wszystko co mogło być powiedziane. Pisarz musiał zrezygnować ze sporządzania narkotyków wyzwalających się gdzieś w międzysłowie dla sprawy niespodziewanych i szokujących zestawień. Formalizm nie przydał się na nic. Próbowano współbrzmienia w różnych tonacjach. Zaczęło się poszukiwanie jakiejś analogicznej tradycji, tak jakby tradycja mogła zastąpić nam twórczość. Konfrontowano to, co największe z tym, co najbardziej tragiczne, by sprawdzić wartość arcydzieł Rudnickiego doświadczając tych prób. Opisał wieczór artystyczny w ghetcie. Warto ten fragment przytoczyć:

„Program? Była to składanka od Proroków do Szymła. Los żydowski dźwięcił wszędzie jednakowo. Ale ja nie mogłem już słuchać! — Czulem ustręt do ofiarnictwa, do Proroków, nie chciałem Proroków, nie chciałem koszul śmiertelnych, chciałem spokoju, spokoju, spokoju, jakim technicznie najuboższy warsztat i ch zwęca a ja kiego nigdy nie ma u nas. Wstrętem przejmował mnie wóz Eliasza, kielich Eliasza, mur płaczu. Chciałem

prostego, prostego życia, właśnie tego, którego najbardziej nam odnawiano. Nie chciałem cierpieć, mury pękły od cierpień, od nikomu na świecie nieznanym cierpień. Nie chciałem tej czystości ponad stan, ponad możliwości ludzkie, nie chciałem postannictwa, nie chciałem Hioba, w każdym domu było więcej cierpień niż w Hiobie...” Str. 155—156; „Wielki Stefan Konecki”.

A więc nawet wielkie teksty czytane w godzinę śmierci zawodzą? Tak. Bo życie ciągnie spowrotem. Nikt nie jest w stanie przekroczyć granicy niewyrażalnego. To, co godzi w nas bezpośrednio, nie może się ludziom podobać. I wtedy nie nie pomaga akompaniament w najlepszym gatunku. Z tą chwilą obowiązuje milczenie. Zalega ono w momencie, gdy piękno przemienia się w grozę. To co straszne, nie może się przecież podobać. Śmierć pojęta jako współczynnik doznań estetycznych, po prostu przestaje być sobą. Zaprzecza własnej istocie. Co więcej: w rękach fałszerzy staje się czymś groteskowo dwuznacznym. W tej postaci nie można jej przyjąć. Gdy artysta zaczyna kłkietować śmiercią, mimowolnie przyspiesza swój koniec.

Kto tak mówi? Człowiek skłonny do formułowania twierdzeń krzywdzących i apodyktycznych. Takim — nie wolno mieć racji. Zaraz mu dowiedziemy, jak bardzo się myli, wierząc w możliwość ucieczki od tego tematu. Wszak śmierć była najwyższą realnością czasu okupacji. Trudno jej było nie dostrzec. Oddychaj nią wszyscy pospółtu. Właśnie wtedy to, co niewiadome, stało się przeraźliwie konkretne i każdej chwili możliwe. Lecz wywyczerzeni na drobno ustrojach nie posiadali narzędzi sięgających w głąb, w głąb śmiertelnego klimatu. Wojna najmocniej ogłuszyła tych, co mieli tworzyć styl „wyprobowany w ogniu”, odpowiadający nieludzkim proporcjom epoki. Pisarz doświadczył tragedii bez precedensu i wtedy znalazł się sam. Nie mógł zawierzyć przeszłości a teraźniejszość stała się większa niż on. Od razu wszystkich przerodziła. „Bakeyl śmierci wszedł w okres rozkwitu”. Rzeczywistość przerodziła środki ekspresji. Obezwładniła psychicznie wielu przegranych jej sprostać. Rudnicki spostrzegł to chyba najwcześniej. Zapisał: „Zmęczenie. Musiałono przycisnąć po latach napięcia po drodze między nożami... Nie udało się zmęczeniu, odczuć nie ośloniemy. Tonujemy w wielkich wodach historii, która zalewa nas. Za dużo jej. Móg jest zmiażdżony, serce wysuszone...”

Mówi się, że wojna zastała nas duchowo i artystycznie nieprzygotowanych do jej doświadczenia. Ale w jakim świecie można najbardziej dostrzec to, co przeciwnie życia? Niechże nam ktoś wytłumaczy! Wszak śmierć nie jest ciana w doświadczeniu wewnętrznym do końca. Umiera zwykle kto inny, nie ten, co o niej napisał. Dlatego żadne słowo do tego kresu nie sięga. Odtwarzają cy czyjś zgon, zawsze zatrzymuje się w połowie drogi. Przestaje mówić w momencie, kiedy powinien rozpocząć. Wtedy nie ma już jednak nic do powiedzenia. Jego mowa dotyczy spraw żywych. Nie dociera do „jądra ciemności” i cofa się przed tajemnicą, której nie trzeba nazywać. Pisarze, których książki od września przestały się liczyć, mieli trupy przed sobą i trupy za sobą. Próbuje różnych form wypowiedzi, poznali, że nie ma sposobu na Apokalipsę. Gdy przyszła — z wielkością ich nie zostało. Nijeden z nich został, jak mówi Rudnicki, „dotknięty przez wojnę zarumieniony od wewnątrz lecz w środku nieknięty”.

(Ciąg dalszy na str. 9).

## Rozmowy których nie było

HISTORICY literatury chętnie badają nawet najdrobniejsze szczegóły z życia wielkich poetów i pisarzy, zwłaszcza, gdy nagłe odkrywają pewien ich związek z współczesną nam rzeczywistością. Złazczenie odzyskanych Ziemi Zachodnich z historią naszej kultury stało się jednym z takich wdzięcznych i pociągających tematów.

Wiadomo, że Juliusz Słowacki był od 9 maja do 8 lipca 1848 r. we Wrocławiu. Toteż, o ile dawniej o tym pobycie wspomniano tylko z sumiennością filologiczną, o tyle teraz spojrzano nań ze szczególnym zainteresowaniem. Już kilka lat temu Tadeusz Mikulski, profesor historii literatury Uniwersytetu Wrocławskiego, z precyzją uczonego powiedział wszystko, co na ten temat powiedzieć można na podstawie autentycznych dokumentów.

Inaczej zrobił to Mieczysław Jastrun\*, który będąc równocześnie badaczem literatury i poetą, spróbował fakty historyczne ożywić poetycką fantazją. To właśnie jest treścią „Spotkania z Salomeą”.

W opowieści tej ożywa Słowacki, obserwujemy jego czyny, przysłuchujemy się jego rozmowom z matką i przyjaciółmi. Akcja toczy się na tle doszłyjących ruchów wolnościowych owego, tak wspaniale zapowiadającego się, roku 1848.

Nikt nie słyszał z historii nie przez kazał rozmów Juliusza Słowackiego z Salomeą Bécu, czy Zofią Mielecką (o której wiewm tylko to, że po eta się z nią we Wrocławiu widywał i poświęcił jej jeden ze swych mistycznych listów poetyckich) czy tym bardziej z Jakubem Krzyszto-

fowiczem, postacią zmyśloną. „Milcza o tym źródła historyczne — pisze Jastrun w przedmowie.

A mimo to wartość tych rozmów, opowiedzianych nam przez Jastruna, polega właśnie na tym, że mają one silne znamię autentyczności. Dzieje się to dzięki temu, że wszystkie wypowiedzi Słowackiego utrzymane są nie tylko w tonie jego listów, ale i w pisanych wówczas utworów. A sprawa nie jest taka prosta, jakby się to na pozór wydawało. Nigdy psychika poety wyrażająca się poprzez jego twórczość nie była tak skomplikowana jak w latach obejmujących pobyt Słowackiego we Wrocławiu. Mistycyzm poety w tym czasie miał swą szczytową granicę. W twórczości czy w listach — był motywem wyjątkowym, ale Słowacki zaczynał się już również interesować życiem politycznym, czego choćby dowodził fakt wyjazdu do Poznania w celu wzięcia udziału w powstaniu (rzeczywiście uczestniczył w posiedzeniach Komitetu Narodowego).

Właśnie w drodze powrotnej z Poznania do Parwyż wstąpił do Wrocławia, by po 18 latach nareszcie spotkać się z matką.

Słowacki w książce Jastruna — to człowiek opętany wizjami czy marzeniami mistycznymi, ale chwilami tragicznie wpatrujący o swym objawieniu, chwilami bystro i realnie spostrzegający otaczającą go rzeczywistość. Niezmiernie ludzkim czyni go coraz bardziej opanowująca go choroba płuc oraz pełne troski i kłopotliwej przywiązanie do matki.

W samych teoriach mistycznych Słowackiego, ciągle się przemieniających w rewolucyjnych walkach, uderza Jastrun podobieństwo do

dialektyki dzieł. Niemniej zgodnie z prawdą autor „Spotkania” dostrzegając w „Odpowiedzi na Trzy Psalmu”, (pisanej w tym czasie, a stawianej zwykle jako przykład rewolucyjnego i postępowego światopoglądu poety) — przenikające ją narty mistycyzmu.

Symbolem ówczesnej rzeczywistości jest drugi bohater książki, postać zmyśloną, Jakub Krzysztofowicz, powstaniec z 1848 r., reprezentujący najbardziej postępowy odłam społeczeństwa. Skonfrontowany ze Słowackim — technicznie siłą i mocą. Dzięki dużym walorom kcm poetycznym książki, nie wyrasta ponad Słowackiego, ale tworzy dla niego doskonałe, bo silnie kontrastujące tło. Od całości odbija jedynie historia projektowanego powrotu Słowackiego do Polski z Krzysztofowiczem, która swa fantastyczność za bardzo odbiega od „prawdopodobnego”.

Prawda psychologiczna technicznie postaci Salomei Bécu. Ta młoda kołtuczka, niemożliwie ubrana, przestraszona wielkomięskim życiem cęskwicie oddaje się miłości do syna. Troskliwość o jego codzienne wygody wypełnia jej życie. Czasem wyrzy z niej jeszcze gest romantyczny zapamiętany z czasów młodości, ale szybko przygłusza go troska i zapobiegliwość matki i gospodyni.

Podobnie świetnie przedstawiona jest Zofia Mielecka, trochę sawantka a trochę snobka, ale przede wszystkim kobieta kokietująca otoczenie swą nieprzeciętną urodą.

Reasumując: książka bardzo interesująca i godna polecenia, może głównie dzięki ukazaniu w portretach Słowackiego i Salomei Bécu tego, co jest w nich głęboko ludzkie.

B. M.

\* Mieczysław Jastrun: „Spotkanie z Salomeą”. Państwowy Instytut Wydawniczy.



Zbigniew CZAJKOWKI

# Kryzysy cykliczne czy kryzys kapitalizmu?

**P**OWOJENNY rozpad gospodarki światowej na dwa wielkie, przeciwstawne sobie rynki, jest nie tylko znamienym następstwem uformowania się na świecie dwóch zasadniczych obozów polityczno-społecznych, socjalistycznego i kapitalistycznego, ale jest też bezpośrednim dowodem zbliżającego się kryzysu kapitalistycznego.

Jest rzeczą charakterystyczną, że „wojna”, czyli termin, w którego teoretycznej jak i praktycznej analizie ekonomia kapitalistyczna jest wyjątkowo biegła, a przede wszystkim skutki i następstwa wojny stanowią niezaprzeczony dowód klęski kapitalizmu. Ma to z tego względu specjalne znaczenie, że kapitalizm w dużym, a obecnie nawet w decydującym stopniu, wiążąc swą egzystencję z koniecznością prowadzenia polityki zbrojeń i kampanii prowojennej, rozszerza w ten sposób rysy na swej strukturze.

Sformułowanie takie wydaje się paradoksem, jakkolwiek paradoks ten nie jest jedynym wśród wielu podobnych sprzeczności, w jakie uwiłkła się kapitalizm. Polega on na tym, że kapitalizm traktując wojnę jako jedną z form swego ratunku upodobnia się do tonącego chwytającego się brzytwy. Wojna bowiem a przede wszystkim jej skutki świadczą najdobitniej przeciw błędności koncepcji samego ustroju.

Wojna dla kapitalizmu ma dwojakie znaczenia: po pierwsze — jest zdesperowanym aktem politycznym ginącego ustroju, w którym związane są osobiste korzyści nielicznej grupy kapitalistów, opierającej swe obecne powodzenie na wyzysku ludzi, po drugie — jest profilaktycznym zabiegiem ekonomicznym przeciw chronicznemu schorzeniu, które wystąpiło po raz pierwszy w kapitalizmie już w okresie jego „dzieciństwa” i obecnie coraz silniej, coraz intensywniej toczy starce ciała. Schorzeniem tym jest kryzys.

Teoria kryzysu stanowi w ekonomice kapitalistycznej fundamentalne zagadnienie. Zanim socjalizm, po swych pierwszych, nieudanych, utopijnych próbach, nie wystawił właściwej diagnozy chorującego kapitalizmu i nie wykazał w pracach Karola Marksa sprzeczności społeczno-ekonomicznych, tkwiących w samych założeniach tego systemu wydawało się, że kryzys jest zjawiskiem przemijającym, wynikającym z naruszenia przyjętych i obowiązujących praw ekonomicznych, które ujęte w klauzulę równowagi gospodarczej, miały prowadzić żywot niezmienny i wieczny. Mimo wnikliwej analizy kapitalizmu, przeprowadzonej przez Marksa w „Kapitale”, mimo argumentacji za pomocą faktów i liczb, wskazujących w sposób oczywisty jego błędy i wyrządzoną przezeń krzywdę społeczną, system ten niepodzielnie panował w świecie aż do chwili, gdy powstało pierwsze państwo socjalistyczne, stanowiące dowód nie tylko możliwości uniknięcia kryzysu,

wleczonego przez zarażony kapitalizm, ale także likwidacji krzywdy społecznej i zdolności do coraz dalszego rozwijania gospodarki narodowej. Fakt ten był bodźcem dla uświadomionej części społeczeństwa do opowiedzenia się za socjalizmem i za urzeczywistnieniem jego tez społecznych i gospodarczych. Z drugiej strony fakt ten stał się sygnałem ostrzeżenia dla kapitalizmu, który w swojej obronie nie zarzucił wprawdzie bezpłodnych analiz o teorii kryzysów i ich cykliczności, ale chwycił się nowej broni, stanowiącej jeszcze jeden dowód tkwiących w nim sprzeczności. Bronią tą były teorie „regulowanej”, planowej gospodarki kapitalistycznej”, mającej na celu zapobieżenie bezrobociu, kryzysom i wojnom. Prekursorzy tych teorii, Keynes i Beveridge, opracowując swe projekty przekształcenia liberalnej gospodarki kapitalistycznej w system kierowanej i regulowanej przez państwo działalności gospodarczej, wychodzili z założenia, że tylko ścisła kontrola władzy państwowej może uzdrowić nieskoordynowane wysiłki gospodarki kapitalistycznej. Wprowadzenie tego systemu miało, ich zdaniem, uwolnić gospodarkę kapitalistyczną od niebezpieczeństw nadprodukcji, nadmiernego bezrobocia, spadku koniunktury. Podjęta w ten sposób obrona kapitalizmu zawiodła jednak na całej linii, czego najlepszym dowodem jest obecny kryzys, który datuje się od czasu zakończenia drugiej wojny światowej mimo, że jako zabiegów, stosowanych przeciwko niemu, używa się wszelkich recept Keynesa — planów Marshalla, Schumana itd. — a nawet wybiega się już poza te wskazania, usiłując ratować kapitalizm — wojną na Korei.

## II.

**T**YPOWYM przykładem państwa, w którym trudności gospodarcze po drugiej wojnie światowej obnażyły wszystkie błędne założenia kapitalizmu są Stany Zjednoczone, które nastąpił bezpośredni wpływ wojny dostarczył całego szeregu faktów, świadczących o tym, że Stanom

Zjednoczonym groził kryzys gospodarczy na skalę roku 1929.

Lata 1947 — 1949 cechował ciągły i pogłębiający się spadek cen hurtowych wielu artykułów niezmopolizowanych oraz rolnych, których wartość obniżyła się w ciągu tylko jednego roku o 1/3; produkcja przemysłowa spadła w roku 1949 w porównaniu z 1948 o 22% i groziło dalsze pogorszenie się sytuacji ze względu na zmniejszenie zamówień na urządzenia przemysłowe o 26%; podobną tendencję wykazywał obrót handlowy wewnętrzny, jak i zagraniczny; natomiast ilość bezrobotnych zaczęła wzrastać, osiągając według oficjalnych danych pod koniec 1949 ponad 3,5 miliona osób.

Pogłębiające się w tych latach trudności gospodarcze Stanów Zjednoczonych, rysowały ciemny horyzont narastającego kryzysu, zwłaszcza, że wszystkie występujące cechy były typowe i podobne do objawów kryzysów, które przewinęły się po wojnie domowej i po pierwszej wojnie światowej.

Gwałtowne kureczenie się produkcji przemysłowej mogło być zahamowane jedynie nowymi zamówieniami, rosnącym popytem na towary amerykańskie, popytem wynikającym nie tylko z zapotrzebowań wewnętrznych, ale przede wszystkim zagranicznych. Sytuacja polityczno-gospodarcza układała się jednak inaczej. Światowy rynek kapitalistyczny zwięził się z powodu odpadnięcia od niego państw demokracji ludowej i Chin Ludowych. Państwa te, a zwłaszcza Chiny, stanowiły dla finansjery amerykańskiej żelazną rezerwę lokaty zarówno towarowej, jak i kapitałowej. Ograniczenie rynku światowego do pozostałych państw kapitalistycznych stworzyło dodatkowe trudności walki konkurencyjnej z odbudowującą się gospodarką narodową tych państw. Zasadnicza jednak trudność zwiększenia popytu światowego wynikała z ogólnego zubożenia państw europejskich i zmniejszenia się siły nabywczej ich ludności.

Analizując tę sytuację należy zastanowić się, czy rysujący się kryzys ekonomiczny w Stanach Zjednoczonych, podobnie jak i w innych państwach kapitalistycznych, wytworzył się tylko i wyłącznie w efekcie ciężkich zniszczeń wojennych, czy

też jest zjawiskiem o głębszym znaczeniu.

Wydaje się, że odpowiedź na to pytanie możnaby ująć w dwóch stwierdzeniach: pierwsze ocenia w całej swej rozciągłości genezę depresji gospodarczej, wynikającej w głównej mierze z podziału państw kapitalistycznych na dłużników w stosunku do Stanów Zjednoczonych i na Stany Zjednoczone jedynego ich wierzyciela. Cóż jednak z tego, że wierzyciel zgromadził w swym skarbcu Knox większość zapasu złota na świecie, że stał się jedynym dyktatorem wobec pomniejszych, zadłużonych u siebie kapitalistów, jeśli właśnie ten nadmiar złota staje się przyczyną jego klęski. Pozycja dłużnika pozostałych państw kapitalistycznych wobec Stanów Zjednoczonych, prowadzących politykę dalszego ekonomicznego ich uzależniania od siebie, uniemocniła tym krajom restytucję swej gospodarki. W ten sposób odbiera się im możność rozbudzenia narodowej produkcji przemysłowej jak też podniesienia swych zamówień w Stanach Zjednoczonych. Błędne koło kapitalizmu zamknęło się a Stany Zjednoczone zostały skazane, jak mityczny król Midas na przesycenie się swym złotem, na śmierć, wynikającą z założeń samego ustroju.

W tym miejscu należałoby uzupełnić odpowiedź drugim stwierdzeniem: w czasie starania się Stanów Zjednoczonych o sztuczne wzmoczenie popytu państw europejskich, w latach 1947 — 1950 notuje się w państwach obozu socjalistycznego stały, imponujący wzrost produkcji przemysłowej, zupełny brak bezrobocia, zakończenie odbudowy zdevastowanego przemysłu i przejście do jego rozbudowy. Wystarczy przytoczyć tylko parę liczb, cechujących tempo rozwoju produkcji przemysłowej:

	1948	1949	1950	1952
Polska	100	123	161	245
ZSRR	100	119	147	189
U.S.A.	100	92	104	111

Tabela powyższa potwierdza rażąco różnicę rozwoju przemysłu w krajach socjalistycznych i w Stanach Zjednoczonych. Nie trzeba chyba do datkowo przypominać, że zakłady przemysłowe w ZSRR i w Polsce zostały poważnie zniszczone w okresie

wojennym, podczas gdy przemysł amerykański nie poniósł żadnych strat. W przytoczonej tabelce zwraca uwagę fakt, że w przemyśle amerykańskim zaczyna rysować się pewna poprawa, skoro w roku 1952 nastąpiło podniesienie się wskaźnika produkcji przemysłowej do 111. Zjawisko to należy jednak uzupełnić do datkowo dwiema liczbami, charakteryzującymi tempo zbrojeń Stanów Zjednoczonych. Gdy w roku budżetowym 1937/38 wydatki wojenne Stanów Zjednoczonych wyniosły jeden miliard dolarów, to w roku budżetowym 1952/53 wzrosły do 58,2 miliarda dolarów, stanowiąc 1/4 całej sumy budżetowej. W roku 1950, wreszcie, wybuchła wojna w Korei.

Groźba kryzysu kazała szukać takich form zwiększenia i zbytu produkcji Stanów Zjednoczonych, aby za wszelką cenę wywołać pozory poprawy gospodarczej. Cenę tę płaci obecnie Korea, jak też płacą całe rzesze ludzi pracy w Stanach Zjednoczonych, którym z racji zbrojeń obniża się realną płacę, a także wysyła jako żołnierzy na front koreański.

Dlatego też wzrostu produkcji przemysłowej w ostatnich dwu latach w Stanach Zjednoczonych nie można wytłumaczyć ani regresją ożywienia gospodarczego, ani powodzeniem działania planu Marshalla, ani też żadnym z tych zabiegów które są dokonywane w oparciu o teorię „regulowanego” kapitalizmu. Mimo pewnego wzrostu produkcji Stanów Zjednoczonych kryzys gospodarczy trwa tam — jest jedynie hamowany i tłumiony wojennymi zamówieniami. Kryzys gospodarczy Stanów Zjednoczonych nie jest zwykłym, cyklicznym kryzysem, po którym, w myśl kapitalistycznej ekonomii, ma przyjść owo słynne, wspaniałe „recovery” i „prosperity”. Kryzys obecny nosi zarodki rozkładu, toczącego przez siebie organizmu i nie jest kryzysem okresowym, ale kryzysem samego ustroju.

Pierwszym znakiem rysującego się strukturalnego kryzysu kapitalizmu był okres przed drugą wojną światową, zapoczątkowany załamaniem się giełdy nowojorskiej w 1929 r. Okres depresji gospodarczej, która nastąpiła po tym fakcie i

(Dokończenie na str. 11)

## F I L M O W E Ł O W Y

**N**OTATNIK Borysa Dolina, znanego reżysera radzieckich filmów przyrodniczych, nosi tytuł „Polowanie z aparatem filmowym”. Jak z samego tytułu widać, Dolin to brat duchowy Włodzimierza Puchalskiego, autora pięknych „Bezkrwawych łowów”. Obaj są myśliwymi, którzy zamiast strzelby wycelowują w zwierzę obiektyw aparatu fotograficznego i filmowego. Na ramionach dźwigają statywy, a broń swą, zamiast kulami, ładują filmową taśmą. Borys Dolin zrealizował kilka znanych filmów z życia zwierząt: „Prawo wielkiej miłości”, „Na tropach dzikich zwierząt” i „Dzieje jednej obrączki”. Jest ponadto realizatorem filmów naukowych, z życia mikroorganizmów, fauny morskiej i słodkowodnej itp. Wraz ze swymi pomocnikami i operatorami przetrzuca się z jednego krańca ZSRR na drugi, znad Morza Czarnego do tundry syberyjskiej, z gór Tiań-Szań na niezmiernie stepy. W sposób bezpretensjonalny i prosty opowiada nam o przygodach, które spotykały filmową ekspedycję wdzierającą

się na oblodzone i zaśnieżone przelece Tiań-Szań w poszukiwaniu stad koziorożców, lub z wielkim nakładem pracy podchodząc ołbrzymie stada flamingów, przebywających na wodach jednej z zatok kaukaskiego wybrzeża Morza Kaspijskiego.

W pierwszych rozdziałach swej ciekawej książki opowiada Dolin o pracy nad realizowaniem filmów, w których „aktorami” były wycieczki, fotografowane w kropli wody przy pomocy mikroskopu. Operatorom udało się m. in. nakręcić scenę pożerania wycieczki zwanego „pantofelkiem” przez groźnego drapieżnika „didinium” (posiadającego zresztą mniejsze wymiary niż jego ofiara). Nie była to prosta sprawa, ponieważ najpierw należało wygłodzić didinium, aby zechciało zrzucić się na pantofelka w chwili dokonywania zdjęć. Po wielu tygodniach uciążliwych prac udało się pracownikom Instytutu Biologii doprowadzić didinia do głodu przez odizolowanie ich od reszty wycieczki i stosowanie racjonalnej „diety głodówkowej”. Innego rodzaju aktorami filmowymi były aktynie, morskie żyjątka, przypominające z wyglądu kwiat chryzantemy. Przez kilka tygodni trzeba je było przyzwyczajać do silnego światła lamp, niezbędnych przy

dokonywaniu zdjęć. W potokach ostrego światła aktynie kurczyły się i mimo długiej głodówki nie chciały łapać i pożerać rybek w sposób im właściwy. Te przykłady dają nam jasny pogląd na trudną, ale zarazem nader interesującą pracę filmowców przyrodników.

W dalszych rozdziałach opowiada nam autor o pracy nad filmem „Prawo wielkiej miłości” — ukazującym przejawy instynktu macierzyńskiego u zwierząt. Nowością było tu opracowanie scenariusza fabularnego, co pociągało za sobą konieczność dokonania szeregu zdjęć z „aktorami” specjalnie w tym celu łowionymi i zlekka oswojonymi. Warto tu przytoczyć, co we wstępie do swej książki pisze Dolin na temat fabularnych filmów z życia zwierząt:

„W osobliwej tej pracy stopniowo narastało coraz większe doświadczenie, a wraz z nim rodziło się przekonanie o możliwości stworzenia filmu z życia zwierząt na podstawie fabularnej, z „bohaterami” i opowieścią o ich losach, rozstrzygających się na ekranie — stworzenia filmu popularno-naukowego w poetycko-artystycznej formie, bez naruszenia jednak ścisłości naukowej”.

Nie brakło przy tym momentów ko-

micznych, zwłaszcza podczas filmowania małych niedźwiadków, skradających się do dziupli z miodem. Bezspornie najciekawszą częścią książki jest opis ekspedycji w góry Tiań-Szań w północnej Kirgizji. Nakręcano tu znany polskiemu widzowi film popularno-naukowy pt. „Na tropach dzikich zwierząt”. Głównymi aktorami były w nim koziorożce, żyjące tu w wielkich stadach. Wystarczy powiedzieć, iż zdjęć dokonywano niejednokrotnie na wysokości przekraczającej 4000 metrów, w warunkach wymagających od członków ekspedycji niezwykłego hartu i poświęcenia. Czytamy w końcu o pracy przy realizowaniu pięknego, znanego nam również filmu z życia bocianów, pt. „Dzieje jednej obrączki”. Film ten, podobnie jak i wymieniony poprzednio, posiada pewną, zresztą bardzo prostą fabułę.

Lektura książki Dolina jest szczególnie godna polecenia dla młodzieży. Przeczytają ją również z zainteresowaniem wszyscy miłośnicy przyrody, amatorzy fotografowania zwierząt, czytelnicy literatury podróżniczo-awanturkowej. „Awantury” są tu bowiem w najlepszym stylu.

Stanisław Pagaczewski

POPIERAJCIE

KATOLICKI  
UNIwersytet  
LUBELSKI

\*) Borys Dolin, „Polowanie z aparatem filmowym”, Warszawa 1952, wyd. Filmowa Agencja Wydawnicza. Biblioteczka filmowa nr 6. Przekład z języka rosyjskiego Heleny Anisimow, stron 128.



K TO tylko zajrzał wczoraj wieczorem do Bullena, gadał o strasznym wypadku, któremu omal nie uległa Klara Beck, czyli dziewczyna Clyde'a Bullena. Zarządzam stołami bilardowymi i kioskiem tytoniowym, a także pilnuję zapisów, ale tym razem nie jestem na zwykłym posterunku w pierwszej sali, bo Clyde rozgrywa zawziętą partię na nowym stole, a ja jestem jedynym, któremu powierza kredowanie swego kija. Robiąc to, zbierając stawkę za gry i ustawiając bile, słyszę zewsząd, jak to Śpoch Bailey wyciągnął Klarę z rzeki.

To żaden z chłopaków, Śpoch, to tylko Murzyn i jeszcze w dodatku głuchy, który mieszka gdzieś w czarnej dzielnicy i gra do tańca na fortepianie w Luizjańskim Klubie Towarzystw. Mówią o nim, że nie słyszy nic poza muzyką. Cały dzień włóczy się i łowi ryby. Podobno właśnie nie łowił ryby, kiedy zobaczył Klarę w rzece poniżej mostu, którym przechodzi szosa do Ludlow. Popłynął i uratował ją. Musiał najpierw dobrze ją trzepnąć, tak się bronila. Tak czy owak nie pozwolił jej utonąć. Oto historia, którą wszyscy opowiadali.

Clyde wpadł na pomysł, żeby zrobić zbiorke dla Śpocha, bo dzielnice sobie postąpił, a nie ma nic przy duszy poza glistami na przynętę. Swoją drogą, jako Murzyn — golec, nie potrzebuje niczego. No, ale Klara jest dziewczyną Clyde'a i to Clyde wpadł na ten pomysł. Tak więc zbierało się całkiem sporo, bo większość chłopaków woli dobrze żyć z Clyde'm, pozostali zaś winni mu są forszę i głupio im odmówić.

Ja sam wrzuciłem do kapelusza dwie dychy.

Clyde przymierza się właśnie do strzału, kiedy wchodzi Skeeter Bird i mówi:

— Trochę zimno na kąpiel, no nie, Clyde?

Clyde jest zły i musi ponownie ustawić się do trzynastej bili. Pamiętam, że to trzynasta, bo Clyde ma słabość do dużych numerów, a ta trzynasta jest jego ulubienicą. Mówi, że przynosi mu szczęście — ta i dziewiąta. Wspominam o tym, ponieważ Clyde chybił. To słowa Skeetera zepsuły celność jego strzału — takie jest moje zdanie i tak tłumaczy to sobie każdy, kto wie jak Clyde gra.

— Co cię swędzi? — pyta Clyde wściekle.

Widzę, że nie tyle biesi go ta trzy nastka, która uciekla, ile to, że wystawił ją pod lada dotknięcie Ace Haskinsa, przechwalającego się, że raz wygrał partię ze słynnym Ralphem Greenleaf.

— Masz coś do powiedzenia? — mówi Clyde.

— Nie — odpowiada Skeeter — tylko...

— Tylko co? — dowiadyuje się Clyde.

— Tylko, że Murzyn Bailey jest porządnie podrapany.

— Właśnie robię na niego małą zbiorke — mówi Clyde. — Chłopcy, podajcie no tacę ptaszki.

Ale Skeeter nawet nie rusza palcem, tylko mówi:

— Klara też oberwała coś niccoś. Murzyn musiał niezłe jej wlepić.

Żaden z nas nie wiedział do czego Skeeter zmierza, może najwyżej Clyde, który kiedyś uczył się zgadywania myśli, ale nikomu się to nie podoba. A Clyde'owi, już ja to widzę, nie podoba się to szczególnie. Kij drży nieznacznie w jego dłoni, jakby chciał użyć go na Skeetera. Zamiast pchnąć, wyprostowuje się i mówi:

— Może ratując ją, miał jej się dać udusić? To było dla jej dobra.

— Możliwe — mówi Skeeter. — Ale chojcie wyglądali jak po bitce.

— Tak? — pyta Clyde. — Byłeś przy tym?

— Nie, ale słyszałem.

— Słyszałeś — mówi Clyde i przygotowuje się do ustawienia piętnastej bili.

— Tak — mówi Skeeter. — Wiesz Clyde, ten Murzyn Bailey, to dziwny Murzyn.

— Dlaczego? — Clyde przygląda się Skeeterowi z bliska. — Co mu brakuje? — Wstrzymuje pchnięcie kija i patrzy prosto w oczy Skeetera.

— No, wygadaj się wreszcie.

— Och, nie wiem czy mu co brakuje — mówi Skeeter. — Myślę, że jest w porządku. Parszywy, murzyński leń. To wszystko. Nie chce mu się robić — tylko by brzdąkał i łowił ryby.

— Nigdy nie uratowałby Klary, gdyby nie łowił — mówi Clyde.

— A poza tym, cóż ty takiego robisz?

To trafia celnie, bo Skeeter sam nie pracuje, chyba żeby nazwać pracę sprzedawanie przerwy albo cpylanie szkiców artystycznych. Tak on to nazywa. Szkice artystyczne. Widać na tym dziewczynę bez ubra-

J. F. POWERS

— Może w tym nie być słowa prawdy, Clyde — mówi Skeeter. —

— Wiesz, jak ludzie gadają. Wiem tylko to co słyszałem. Swoją drogą od dawna zauważyłem, że Murzyn Bailey, to cholernie dziwny Murzyn. Nikt nie ma pojęcia, skąd on się wziął — z St. Louis, z Chicago czy z New Yorku. Nikt tego nie wie. I, jeżeli jest głuchy jak pień, w jaki sposób może grać na fortepianie?

— Do diabła z Murzynom — mówi Clyde — co gadają te syny z Arkad?

— Och, nie wszyscy tak gadają, Clyde. Tylko niektórzy z nich. Czerwony Hynes, barman z El Paso i inni. Mówią, że może Murzyn nie na darmo ma podrapaną głowę. Mówią, że może próbował splatać jakąś sztuczkę. To cholernie dziwny Mu-



nia, najwyżej w podwiązkach, a pod spodem napis: „Zamyślona” albo „Wieczór w Paryżu”. Skeeter twierdzi, że sprzedaje to artystom — będzie ci tak mówił w oczy — ale zawsze ma kilka sztuk dla chłopaków u Bullena.

No więc tak. Skeeter idzie do pierwszego pokoju i zaczyna przyglądać się hazardownym bilardom sprężynowym. Nigdy nie gra, przygląda się tylko. Ktoś powiedział, że pisze książkę o tym jak tu najpewniej na nich zagrywać, ale nie sądzę aby miał dość rozumu na to. Takie jest moje zdanie.

Clyde jest w połowie następnej partii kiedy Skeeter wraca. Tym razem towarzyszy mu paru chłopaków.

— Dobra, dobra — mówi Clyde, przerywając grę.

— Powiedz mu Skeeter — nagałuj go chłopcy.

— Dobra, Skeeter, powiedz mi — mówi Clyde.

— Och, niektórzy goście gadają to i owo, Clyde, to wszystko.

— Kto gada? — pyta Clyde. — Kto co gada?

— Niektórzy — mówi Skeeter — tam „Pod Arkadami”.

„Pod Arkadami”, jeśli tego nie wiecie, to drugi lokal bilardowy w mieście. Bywalcy Bullena i Arkad trzymają się osobno. Zdaje mi się, że jeden tylko Skeeter pokazuje się regularnie i tu i tam, ponieważ w obu miejscach ma klientelę. Osobiście wolałbym, żeby Skeeter nie pokazywał się u Bullena, ale Clyde kupuje sporo jego „szkiców artystycznych”, więc nie mam nic do gadania.

Po chwili namysłu Clyde mówi do Skeetera:

— Jazda, kawę na ławę.

rzyn, Clyde, choćbyś nie wiem co mówił. I kiedy tak dobrze nad tym pomyśleć, to mi zbyt zadziera nosa, Clyde. Tak czy owak niektórzy „Pod Arkadami” mówią, że kto wie, może Murzyn wrzucił Klarę do rzeki, a potem wyłowił ją dla niepoznaki. Murzyni znają się na takich wykrętach, Clyde.

Clyde nie odzywa się na to ani słowem, ale widzę, że myśli wściekle i że im więcej myśli, tym jest wścieklej. W lokalu Bullena jest teraz cicho, jak makiem siat.

— Czy nie mówili — pyta Clyde — czy nie mówili z czego to on się chciał wykręcić?

— Tak, Clyde — mówi Skeeter. — Mówili, oczywiście. Tak, niektórzy z nich gadali, że może Murzyn ją zgwałcił!

Trask! Clyde rżnie w stół swoim kijem. Kawalek masy perłowej przyska z bandy pięknego, nowego stołu. Nikt nie odzywa się. Clyde patrzy tylko w obłok kredowego pyłu, który wzniecił.

Wtedy Skeeter mówi:

— Gadają, że najpierw ją zgwałcił, a później wyratował.

— Co zrobisz, Clyde? — pyta Banjo Wheeler.

— Clyde się namyśla — mówię. — Dajcie mu się namyślić! Ale swoją drogą nigdy nie widziałem, żeby Clyde tyle czasu tracił na myślenie.

— Jazda — mówi Clyde.

Chłopaki usuwają mu się z drogi. Podchodzi do stojków na kije i sy pie na dłonie trochę talku. Wszyscy chłopcy przyglądają mu się uważnie. Potem Clyde spluwa. Stoje przy samej spluwaczce i widzę jak plwocina Clyde'a pływa w środku. Nikt nie

# PODBITE

odzywa się słowem. Plwocina Clyde'a kraży po wodzie w spluwaczce. Czekam jaki też on zamiar obwieści. Clyde bierze kredę z mojej ręki. W dalszym ciągu nie mówi nic. Pierwszy raz sam naciera kredą ko nice swego kija, mając mnie w pobliżu.

Nagle odzywa się:

— Roy, co to za jeden, ten Murzyn Bailey?

Roy — to ja.

— Och, — mówię — taki sobie Murzyn nie — dobrego, Clyde. Gra na fortepianie w Luizjańskim Klubie Towarzystw — w jakimś tam klubie, Clyde. To wszystko co wiem, albo co ktokolwiek wie o nim. Sporo łąwi — taki leniwy, cudaczny Murzyn — nie dobrego...

Ale to nie jest zły Murzyn, Roy?

— Nie, co to, to nie, Clyde — mówię. — Nie ma już u nas takich w mieście.

— Właśnie — mówi Clyde — o to chodzi: to nie jest zły Murzyn.

Potem, nie odzywając się już więcej, Clyde strzela i wpędza dziesiątą bilę w boczne gniazdko. Nie potrzebuje wam mówić, że wszyscy chłopcy są głęboko rozczarowani postępowaniem Clyde'a. Muszę wyznać, że i ja nie widziałem białego mężczyzny, który zachowywał się tak jak on. Ale może Clyde ma jakieś swoje racje, mówię sobie i czekam.

O Tóż, proszę was, to wszystko działo się tuż przed tą wiadomością ze szpitala. Ace przyjaźni się z jedną z pielęgniarek i w ten sposób dowiedzieliśmy się. Zawołał ją do telefonu, żeby zapytać o zdrowie Klary. Jest nieprzytomna i nie może jeszcze mówić, ale to nie to rozpętało cwo piekło u Bullena. To — niewątpliwie obja-wy cią-ży!

Kapujecie? Znaczą, że została zgwałcona. Rany! Wyobrażacie sobie, jak to wzburzyło chłopaków u Bullena. Niektórzy twierdzą, że podziwiali Clyde'a za to, że nie rżnął od razu kijem gdzie popadło, inni mówią, że nie podziwiali go właśnie za to samo, ale wszyscy przyznają, że ich poniosło. I mają rację.

Idę do Ace'a, u którego są pieniądze zebrane na Murzyna i odbieram moje dychy. Z początku jest z tym trochę kłopotu, bo niektórzy chłopcy byli już przede mną i wzięli więcej niż złożyli — a może to tylko Ace tak twierdzi.

Tymczasem Clyde siedzi w umywalni. Staram się wywołać go, ale on się nie spieszy. Jednakże, gdy tylko otwiera drzwi i wychodzi, wszyscy dzielimy się z nim nowiną. Wyznaję, że pierwszy raz widzę Clyde'a, zachowującego się tak jak teraz. Wołalby o tym nie mówić — ale trudno. Clyde zachowuje się nie bardzo po męsku. Nie, stanowczo nie po męsku. Po prostu bierze swój kij i podaje mi.

— Natrzyj kredą — mówi. „Natrzyj kredą”, to wszystko. Mam cholerną ochotę oddać mu go.

Kreduję kij, ale chłopcy nie mogą już wytrzymać.

Ace powiada, że idzie jeszcze raz dzwonić do szpitala.

— Do cholery, Clyde — mówi Banjo — musimy coś zrobić. Inaczej żadna biała kobieta nie będzie bezpieczna na ulicy. Co pomyśla o tobie „Pod Arkadami”? Już słyszę jak Czerwony Hynes i inni śmieją się z ciebie.

Wszyscy chłopcy u Bullena czują podobnie i mówią podobnie. Razem z innymi czekam, żeby Clyde pośpieszył się i zrobił coś, albo żeby się przynajmniej wytłumaczył. On jednak, jakby nigdy nic, zaczyna nową

grę. Jest nieznośnie cicho. Clyde ma dziewiątkę na rozkładzie. Bila waha się u brzegu gniazdko, jakby wzbriała się wpaść, ale wpada.

— Lubisz tę dziewiątą gałę, Clyde, no nie? — mówię starając się jakoś go rozruszać i przywieść do opamiętania. Wyciągam bilę i podaję mu. Moja dłoń jest wilgotna i gorąca, a żółta dziewiątka wydaje mi się lepka jak masło.

— Pewnie najbardziej lubi jej kolor\* — mówi Banjo.

Cholera! Myślałem, że z Banjo'em już koniec, ale nie, proszę was, Clyde gra dalej, jak gdyby usłyszał komplement.

Paru chłopaków pogwizduje z cicha: Banjo ma szczęście, że mu tak uszło na sucho. Mnie się zdaje, że Clyde lituje się nad nim — obaj są bokserami. Trzy lata temu Clyde walczył o tytuł mistrza okręgu w wadze ciężkiej, jako Big Boy Bullen. Ważył wtedy blisko sto dwadzieścia kilo. Biedny, stary Banjo, to przegrany facet, kawał dziada. Kiedy za dużo wypije, jak ostatniego, jak każdego zresztą wieczora, zapomina jak jest stary i przegrany i nie przychodzi mu nic lepszego do głowy, jak czeplić się Clyde'a, który był kandydatem na mistrza, cenionym przez Collyer's Eye. Banjo, kiedy jeszcze walczył, dochodził najwyżej do półciężkiej, a teraz nie waży więcej, jak siedemdziesiąt siedem. Razem z całą wodą w środku i z pełnymi portkami strachu nie waży więcej.

W tej chwili Ace wraca od telefonu i mówi:

— Bez zmian; Klara wciąż nieprzytomna.

— Kombinacja — powiada Clyde. — Dwunastka w rogu.

To wszystko co Clyde ma do powiedzenia. Wszyscy chcielibyśmy coś zrobić, ale Banjo niecierpliwi się najwięcej, więc mówi:

— Bez zmian, nadal nieprzytomna. Zgwałcona i pobita przez Murzyna! Kombinacja — dwunastka w rogu!

— Zamknij mordę — mówi Clyde. Znów rżnie kijem w stół, krusząc kawalek kredy! Nawet nie patrzy na Banjo, ani na żadnego z nas. Biorę miotłkę i nie prosząc Clyde'a, aby się usunął, zamiatam kredę jak najstaranniej.

— Dzięki — mówi Clyde, w dalszym ciągu nie widząc nikogo.

Wydaje mi się trochę dziwne, bo Clyde nigdy dotąd za nic nie dziękował. Czy to naprawdę dawny Clyde? A może jest chory? Nagle, słowo da je, Clyde sam robi partię — trzystaście bil od kija. Ace w ogóle nie dochodzi do strzału.

Ale, możecie sobie wyobrazić, chłopcy mają już dość. Wszyscy chcą, żeby Clyde coś zrobił. Chyba nie potrzebuje być zgadywaczem myśli, żeby wiedzieć o tym. Jego oczy mają szczególny wyraz, który widziałem już raz czy dwa razy poprzednio. Podchodzi do Banjo, aby — zgadnijcie — aby uściśnąć mu dłoń! Tak, proszę was, Clyde wyciąga rękę i uśmiecha się — uśmiecha się do Banjo, który powiedział taką rzecz!

Banjo osłupiały stoi przed nim, nie mając pojęcia o co Clyde'owi chodzi. Ścisną sobie ręce.

— Więc jak, Banjo? Jestem żółtek, tchórz? — Tak mówi Clyde.

Nie wiem czy naumyślnie, czy też nie mogąc się powstrzymać, Banjo czeka prosto w twarz Clyde'a.

Bęc! Clyde bije szybko dwa razy w podbródek i usta Banjo, a ten pada jak szmata. Banjo leży rozwalony na podłodze z głową otwartą, jakby

\* Kolor żółty jest w Ameryce synonimem tchórzostwa.



tłum. J. J. SZCZEPAŃSKI

## OKO

mu w niej pękła jakaś sprężyna. Krew cieknie kącikiem ust i widać zlamaną sztuczną szczękę.

— Podaj mi dziewiątkę, Roy — mówi Clyde. Biorę bilę, i daję Clyde'owi. Wpycha ją w otwarte i obfite krwawiące usta Banjo. Potem deje mu jeszcze raz w szczękę i oto słyca, jak bila grzechocze w środku.

— No, chłopcy — mówi Clyde — niektórzy z was rwą się dzisiaj do dzieła. Cóż. Mogę wam dostarczyć okazji. Właśnie dziś mam ochotę po wieści jakiegoś negra przy blasku srebrnego miesiąca. Jazda, do roboty!

To jest nareszcie dawny Clyde. Kilku chłopaków sięga po kije bilardowe, ale ja opiekuję się nimi i stolami, więc mówię:

— Odlóżcie kije! Możecie sobie wyrwać na dworze parę sztchet!

Zostawiamy starego Banjo ssącego dziewiątkę bilę, upychamy się w samochodach, które są pod ręką i ruszamy do Luizjańskiego Klubu Towarzystwa. Siedzę koło Clyde'a w jego wozie.

Po drodze Ace opowiada nam, że kiedy drugi raz dzwonił do szpitala, połączyli go z jakimś doktorem. Ten doktor — mówi Ace — był zły, że dziewczyna Ace'a, owa pielęgniarka, udzieliła nam o Klarze informacji, których nie powinna była udzielać. Powiedział jednak, że skoro już tyle wiemy o całej sprawie, sądzi, iż powinniśmy wiedzieć także, że Klara jest w tym stanie od jakiegoś miesiąca. Ace twierdzi, że po sposobie, w jaki doktor powtarzał to w kółko, można było poznać iż boi się, co zamierzamy zrobić z czarnym draniem. Dziewczyna Ace'a musiała coś chlapanąć. Ale Ace podziękował grzecznie doktorowi za jego uprzejmość i powiesił słuchawkę, nie podając prawdziwego nazwiska. Wszyscy wiedzieliśmy dobrze co sądzić o doktorze — po prostu jeden z tych młodych facetów, internistów z Memphis, czy skąd inąd — a jeśli chodzi o sprawę miesięcznej ciąży, też mieliśmy swoje zdanie o tym, co potrafi taki murzyński tryk i pewnie w dodatku porządnie rozpalony spirytusem. Ace wyraził nadzieję, że pielęgniarka nie straci posady z powodu wyświadczonej nam przysługi.

Jedyną osobą, jaką ujrzeliśmy przybywszy do Luizjańskiego Klubu był czarny dziadga, zwany Starym Ivy. Właśnie zamykał. Pytamy go o śpiocha Baileya, ale Stary Ivy udaje głuchego i mruczy tylko „suh! suh!“ jakby nie rozumiał o co nam chodzi.

— Zapalno światła — mówimy — żebyśmy mogli zobaczyć..

— Stary Ivy zapala.

— Gdzie się podziała cała tutejsza farajna? — pytamy.

— Goście poszli — mówi Stary Ivy.

— Więc poszli — mówi Skeeter. — No, jeżeli próbowali wykraść tego brzdąkającego Murzyna, nie zajdą daleko.

— Nie, nie zajdą z nim daleko — powiada Clyde. — Ej, na sam widok tych wszystkich flaszek, czuję suszę w gardle.

Wobec tego każemy Staremu Ivy wystawić cały alkohol na ladę i zaczynamy się rzeźwić. Skeeter żąda, żeby Stary Ivy wyciągnął piwo na zagrychę.

Stary Ivy tłumaczy się, że właśnie zabrakło mu zimnego piwa.

— Nie musi być zimne — mówi Skeeter — nie jesteśmy wymagający.

Stary Ivy wyciąga spod baru cały zapas butelkowego piwa. Potem wychodzi do kuchni i na pewien czas znika nam z oczu.

— Hej, stary — woła Skeeter — nie próbuj wymknąć się tylnymi drzwiami.

— Nie, suh — odpowiada Stary Ivy.

— Hej, Stary Ivy — mówi Clyde — masz tam co do jedzenia?

— Suh? — wciąż tylko to jego suh. — Suh?

— Słyszalesz przecież — mówi Skeeter.

— Nie, suh — mówi Stary Ivy i pokazuje się w służbowym okienku.

— Musi być głuchy — powiada Skeeter. — Ty stary negrze, mam nadzieję, że nie jesteś ślepy! Chwyta butelkę i ciska nią w głowę Starego Ivy. Murzyn daje nura, a flaszka wbija się dnem w ścianę i nie pęka. Ściana jest z tektury.

Wszyscy wpadamy na ten sam pomysł i zaczynamy ciskać flaszkami piwa w okienko, w którym nie widać już Starego Ivy.

— W łeb murzyńskiego syna!

— Murzyn na latarnię!

Zabawiamy się tym, dopóki starcza butelek. Wyrzucaliśmy wszystkie, z wyjątkiem jednej, którą schował Skeeter. — Hej, ty — mówi — już po wszystkim. Nie bój się stary, wylaż. Ale Stary Ivy nie wylaży. Ciekaw jestem czy nie dostał rykoszetem.

— Do djaska, chłopie — mówi Skeeter. — Przynieś nam coś do żarcia. Chyba nie chcesz, żebyśmy tam przyszli do ciebie?

— Suh? — Znów to jego suh — Tak, suh — mówi Stary Ivy w kuchni, nie pokazując się.

Wpadamy do kuchni i Skeeter rzuca ostatnią butelkę. Trafia Starego Ivy prosto w głowę. Myślę, że Skeeter postąpił sobie dość marnie, lecz nagle widzę, że to tylko kucharski czepek Starego Ivy oberwał. Murzyn trzymał go w ręku na wysokości swojej głowy.

Wszyscy chłopcy śmieją się, widząc jak Stary Ivy kiwnął Skeetera.

— Wyprowadził nieprzyjaciela w pole, jak na wojnie — mówi Clyde.

— Chytry Murzyn — powiadam.

— Chytry Murzyn, co? — mówi Skeeter. — Zaraz wam pokażę, co robię z chytrymi Murzynami, którzy chcą mnie przechrztyć.

— Dość — mówi Clyde. — Daj mu spokój. Nie zrobił nam nic złego. Zostaw starego w spokoju — To cały Clyde. Zawsze ujmuje się za kimś, nawet za Murzynem.

**I**DZIEMY, Clyde i ja, do drugiej sali, szukając miejsca gdzie Clyde mógłby sobie ulżyć, bo zbiera mu się na wymioty. Jest cholernie ciemno, ale wkrótce oczy nasze przyzwyczajają się i dostrzegamy kilka stołów, krzesła, automatyczny gramofon i parę ogłoszeń piwa na ścianach. Tu pewnie odbywają się ich tańce. I kiedy tak stoję gotów potrzymać głowę Clyde'a, który rzyga, do uszu moich zaczynają docierać dźwięki pianina — jakby ktoś cichutko puścił radio. Ledwie je łowią — parę tonów od czasu do czasu; smutna muzyka, blues, murzyńska muzyka.

To nie radio. To fortepian w drugim końcu sali. Mam zamiar podejść i zobaczyć, kiedy Clyde mówi: — „to nie, zostaw“. — Nic! Czasami w żaden sposób nie mogę zrozumieć Clyde'a. Wiem już jednak, co sądzić o tym fortepianie.

W tej właśnie chwili Skeeter i Ace wchodzi do sali, wzywając Clyde'a w ciemności i oświadczając, że chłopcy ruszają do innej knajpy. Słyszemy, jak chłopaki robią piekło przy barze, jak tłuką lustro. Potem jest cicho. Widocznie większość już poszła.

Skeeter raz jeszcze nas woła, a Ace pyta:

— Hej, Clyde, idziesz z nami?

Już mają się wynieść, kiedy jeden z nich, zdaje mi się, że Skeeter chwyta dźwięk fortepianu, tak samo jak my przed chwilą. Przez cały ten czas Clyde przyciska mi ręką usta, jakby nie chciał, abym zdradził naszą obecność.

Skeeter przywołuje Starego Ivy i każe mu zapalić światło, a kiedy Murzyn zaczyna ze swoim wiecznym suh, daje mu w kark. Słyszysz odgłos ciosu w ciemności.

Wobec tego Stary Ivy zapala światło — mnóstwo pelzających neonów, zielonych, czerwonych i błękitnych. Wtedy Clyde i ja widzimy to, czego się spodziewałem: Murzyn Bailey gra na fortepianie. Skeeter i Ace widzą go także i wszyscy widzimy się nawzajem.

W tym momencie, niech go cholera! Murzyn zaczyna śpiewać piosenkę. Jakby nie wiedział, co się święci! Jakby nie wiedział pociosmy przyszli! To właśnie to, co nazywam murzyńską chytrnością.

Skeeter wrzeszczy na niego, żeby przestał i wylaż z fortepianu. Milnie ale nie rusza się. Podchodzimy wszyscy do fortepianu.

— Te, Murzyn, jak się nazywasz? — pyta Skeeter.

Śpioch czyta słowa z warg Skeetera. — Bailey — mówi.

Stary Ivy zbliża się i zaczyna coś bredzić, coś w ten deseń, że ten chłop to skończony wariat, że zupełnie, jakby sam chciał się w to wpakować.



Śpioch lekko uderza w klawisze. Kilka nutek, które brznia ładnie i miło.

— Wiesz, pociosmy przyszli? — pyta Skeeter.

Śpioch znów brzdąka te same, miłe nutki i potrząsa głową.

— Na pewno nie wiesz, chłopcze? — mówi Clyde.

Murzyn znowu zabiera się do brzdąkania, ale Skeeter daje mu po łapach kawałkiem gumowej żyły. Wówczas Śpioch mówi:

— Przypuszczam, że szukacie mnie z powodu tej panny Beck, którą wlewilem z rzeki.

— Zgadza się — mówi Skeeter. — Słusznie przypuszczasz.

— Czy wiesz, co gadają na mieście? — pytam.

— Słyszalem — mówi Śpioch.

— Gadają — powiadam — że zgwałciłeś Klarę i wrzuciłeś ją do rzeki, żeby się wykipić.

— To zwyczajne kłamstwo — mówi Śpioch.

— Kto powiedział, że to kłamstwo? — pyta Clyde.

— To zwyczajne kłamstwo, białych ludzi — mówi Murzyn. — Bóg świadkiem.

— W jaki sposób to udowodnisz? — pyta Clyde.

— Tak — mówię — w jaki sposób to udowodnisz?

— Jak im to udowodnisz synu? — mówi Stary Ivy.

— Czyż nie jestem tutaj? — odpowiada Śpioch.

— Tak, Murzynie — mówi Skeeter — jesteś tu; lepiejby ci było nie być!

— Jeśli tu jestem, to chyba dlatego, że nie mam powodów do obawy. Czy to niczego nie dowodzi, że jestem tu, że nie uciekłem? To niczego nie dowodzi?

— Nie — mówi Skeeter. — To nie dowodzi niczego. To po prostu ciętry, murzyński wykręt.

— Poczekajcie, aż panna Beck przyjdzie do siebie i przemówi — powiada Śpioch. — Ja się nie boję.

— Nie, nie boisz się — przytwierdza Stary Ivy. — On rzeczywiście się nie boi; ani trochę. Czyż nie, panie Bullen? To pewny znak, że nie zrobił nic złego. Czyż nie, panie Bullen?

— Hmm, nie wiem... — powiada Clyde.

— Clyde, nie jesteś przypadkiem chory? — pyta Skeeter.

— Niby czego nie wiesz, Clyde? — pyta Ace? — Klara została zgwałcona a to zrobił ten skurwysyn!

— Słuchajcie, co powie pan Bullen — mówi Stary Ivy.

— Moje zdanie jest takie — powiada Clyde — to nie jest udowodniony wypadek gwałtu — w każdym razie w tej chwili. Według prawa...

— Jeżeli tak — przerywa mu Skeeter — to czemu Clyde, zobaczymy się w maju. — Robi ruch jakby chciał odejść.

— Wracaj — mówi Clyde. — Nie chcę, żebyś cokolwiek gadał ferajnie, dopóki ten chłopak Bailey nie znajdzie się pod kluczem w powiatowym manrze, czekając na sąd.

— Okey, Clyde — powiada Skeeter. — To co innego. Myślałem, że chcesz go puścić.

— Nie, do diaska! — mówi Clyde. — Sprawiedliwość musi się stać za dość, no nie?

— No pewnie — powiada Skeeter.

— Gdybyśmy się mieli nim zająć — dodaje Ace — zawsze znajdziemy go w kozie. Może tam na nas czekać bezpiecznie.

Wiem co mają na myśli. Stary Ivy też wie.

— Niech go pan lepiej puści zaraz, panie Bullen — prosi. — Niech mu pan pozwoli odejść. Inaczej porwą go z więzienia i powieszą na drzewie.

— Moim zdaniem — powiada Clyde — de ta rzecz powinna być załatwiona zgodnie z prawem. Nie chcę plamić rąk krwią tego chłopca. Oczywiście, jeżeli jest niewinny.

— Na pewno jest niewinny, panie Bullen — mówi Stary Ivy.

— Nie trzeba go pakować do tego wstrętnego więzienia. Nikomu nic z tego nie przyjdzie.

— To się okaże — powiada Clyde.

— No pewnie. Jasna rzecz! — mówi Skeeter. Nie mamy zamiaru brać prawa w nasze ręce. To nie w naszym stylu, no nie Ace?

— Zamknij się — mówi Clyde.

— Może panna Beck oprzytomnieje do rana i wszystko skończy się dobrze, synu — mówi Stary Ivy do Śpiocha i płacze — czarny lajdak.

Samochodem Clyde'a zabieramy Śpiocha do powiatowego więzienia. Każemy mu położyć się na podłodze, aby postawiwszy na nim nogi, mógł go lepiej pilnować. Raz, w czasie jazdy próbuje się podnieść, ale Skeeter przemawia mu do rozsądku swoją gromową żyłą. Bęc we właściwe miejsce i gość uspokaja się.

Otóż, historia, która wam chce opowiedzieć zdarzyła się zaraz potem, ja. Keśmy wpskowali Murzyna za kratki.

Jak już powiedziałem, Clyde przez cały wieczór zachowywał się bardzo dziwnie, ale teraz naprawdę traci miarę. Dosłownie wybucha. Wszystko to trwa sekundę. Wali trzy razy — jeden, dwa, trzy — i oto Skeeter i Ace leżą jak ta Jala, a ja mam to podbite oko! Uderzył mnie! Nie wstydzę się dodać, że natychmiast rozciągnąłem się koło Skeetera i Ace'a, jakbym był gotów i leżałem póki Clyde nie poszedł sobie. Możecie to sobie wyobrazić.

Ale nie skazuję się na Clyde'a. Nie, jestem przecie jego najlepszym przyjacielem. Skeeter też nie ma pretensji do Bullena który jest jego klientem: ani Ace.

Pytacie co się stało z kim? Z negrem, który twierdził, że wyciągnął Klarę z rzeki?

Znacie ten stary, pochylony wiąz na skrzyżowaniu? To ten właśnie. Ale to nie należy do historii o moim podbitym oku.

**CZYTAJCIE**  
„SŁOWO Powszechne“  
ISMO CODZIENNE

\* ) Zniekształcone nosowa wymowa „tr (par)“.



Andrzej ODNOWA

## Arcydzieło scenicznej satyry

WYSTAWIONA przez Teatr Ludowy komedia „I koń się potknie” („Na wsiakowo mudrieca dowolno prostoty”) posiada cechy wspólne większości utworów Ostrowskiego, wybija się jednak za razem jako jeden z najbardziej nie zwykłych i świetnych. Jest to komedia obyczajowa, „bytowa kome-dia”, „piesa z izni”, jak to określał Dobrołubow, lecz rzucony tu w sześciu odsłonach obraz poczynań rosyjskiej kasty urzędniczo-szlacheckiej uderza wyjątkowo śmiałym ry-sunkiem i skrzy się szczególnie ży-wymi, intensywnymi barwami. Znajdziemy i tu pewną wymyślność intrygi, która rozwija się na-zbyt składnie, a nie całkiem praw-dopodobnie, lecz melodramatyzm, znamienny dla autora „Burzy”, tu przybiera osobliwy i zaskakujący kształt parodii melodramatu.

Oto nobliwy, nieco dziwaczny pan ogląda mieszkanie zubożonego młodego szlachcica Głumowa. Wda-je się z nim w rozmowę, dowiaduje się o jego bezradności w świecie i o mądrym bogatym wuju, do które-go subtelność nie pozwała się mło-demu człowiekowi zwrócić. Z roz-mowy wynika nagle, że tym wujem jest właśnie poszukiwacz mieszka-nia, Nił Fiedosiecz Mamajew, a za pomniani przezeń siostrzeniec zna-lazł oto przedziwnym trafem prze-wodnika w labiryncie życia. Trafem? Ależ bynajmniej! Żorż Głu-mow, nieodrodny synalek swej ma-łki, zdeklasowanej ziemianki, spryt-ny arrywista w stylu balzakowskie-go Rostignaca, odegrał oto pierw-szy akt zaaranżowanej przez siebie komedii. Udał skromnego młodzień-ca szukającego dobrych rad i wska-zówek, a wszakże udzielanie ich, pouczanie wszystkich to ulubiony wreszcie potulnego słuchacza. Po-dobnymi „melodramatycznymi” zwrotami przypiesza się teraz ka-riera obiecującego nowego pupila bogatego próżniaka.

Można w tej komedii podziwiać mistrzostwo charakterystyki zarów-no jednostkowej, jak zbiorowej. Os-trowski przeprowadza widza przez kilka środowisk salonowych: urzęd-niczej szlachty, wojskowych, inteli-gencji, mieszczaństwa. Odmalowuje je, barwnie, stwarzając cały szereg przepysznych, soczystych postaci, u-kazanych w świetle nieźrównanie komicznej, ale zarazem ostrzejszej niż gdziekolwiek indziej w Ostrow-skiego satyry. Rozległość obrazu spo-łeczno-obyczajowego nie przynosi tu szkody jedności widowiska. Łą-czy wszystkie sceny i postacie oso-ba Głumowa, w której świeci triumf Ostrowski — psycholog. Jego Głu-mow to wzniesiony na głównego bo-hatera, złączony w jednej osobie Zagoricki z „Madremu biada” Gri-bojedowa i Sprich z Lermontowa „Masz-arady”. Jak wielki artysta życia gra on na ludzkich słabościach, „s pokłonnikiem pokłonnik, s bezbożnikiem bezbożnik”, aby pasz-kwilem, pochlebstwem, protekcją dobić przez salony do posagu bogatej dziewczynki.

Lecz teraz, zgromadziwszy w sce-nie zaręczyn wszystkie ukazane do-tąd osoby, Ostrowski daje podwój-nie nieoczekiwany finał komedii. Karierowicz zostaje zdemaskowany, aby z kolei samemu oskarżyć mo-ralność zebranego towarzystwa. Końcowy zwrot sytuacji: decyzja przywrócenia „zaskakującego cy-nika, zbyt groźnego swą szczerocia” daje pointę przekorną a jakże prawdziwą, jak ściśle odpowiadają-cą fałszowi i obłudzie moralności warstw posiadających!

Prapremiera polska komedii Os-trowskiego wstawionej kiedyś kre-acją Kaczalową czy Stanisław-skiego przypadła w terminie dla te-

atru ryzykownym. Przed miesią-cem ledwie widzowie warszawscy oglądać mogli filmowe przedstawie-nie „Na wsiakowo mudrieca” w wy-konaniu moskiewskiego Teatru Ma-łego, teatru zwanego „domem Os-trowskiego” (wśród jego artystek znalazł też pisarz żonę) i jak Comé-die Française w Molierze specjali-zującego się w wystawianiu dzieł wielkiego dramaturga rosyjskiego. Obsadą z takimi asami jak M. Ca-riew, E. Turczaninowa, I. Iljiński



K. S. Stanisławski jako Kruticki w sztuce A. Ostrowskiego „I koń się potknie” (1910 r.)

była znakomita, reżyserował P. Sa-dowski, dekoracje K. Juona, nic więc dziwnego, że przedstawienie, zwłaszcza aktorsko wypadło świet-nie, stając się prawdziwym popis-em stylu komediowego.

Skromny teatryk, jakim jest war-szawski Ludowy, stał w zestawie-niu z moskiewskim Małym na z gó-ry straconej pozycji, a jednak prze-grał swą partię w sposób nie przy-noszący mu ujmy.

Główną pretensję do reżyserii Zygmunta Climielewskiego może polski widz mieć o tempo przedsta-wienia. Wiadomo niby, że Ostrow-skiego należy grać w tempie zwol-nionym, realistycznie i szeroko roz-wijając obraz środowiska. A jednak ta komedia, bardzo inna od reszty jego komedii, o wartko przebiegają-cych i świetnie wypunktowanych sy-tuacjach, efektownych zakończe-niach scen i aktów, ta komedia naj-bardziej może „francuska”, aż pro-si się o odejście od szablonu. Tym bardziej, że akcja sama wskazuje na przyspieszone tempo wielkiej gry Głumowa. Również jego koń-co-we morały — przy całej ich spo-łeczno-moralnej ważkości — mogły być wypowiedziane szybciej.

Przedstawienie w Teatrze Ludo-wym było skądinąd ciekawą ilu-stracją prawdy o tym, jakie znacze-nie ma w inscenizacji sztuk teatral-nych podwyższenie lub obniżenie stażu wieku postaci. Przy obsadzie spektaklu nieporównanie słabszej ukazano mimo to w Warszawie nie-kóre postacie szczęśliwiej, właśnie m. in. przez ich odmłodzenie. Intere-sująca — z wyjątkiem niektórych uśmiezków i wtrętów niemal ka-baretowych — Mamajewa E. Wie-czorkowskiej, którą emabluje mło-dy siostrzeniec za zachętą wuja (swoiście ujęty motyw mussetow-skiego „Świecznika”), podobnie jak i generał Krutickij, sklerotyczny bawidamek i ramol — dobry, miej-sami świetny A. Kwiatkowski — byli w polskim przedstawieniu młod-si i mniej oblesni, nie przestając być komiczni i karykaturalni. Było to dobre posunięcie reżyserii Chmie-lewskiego i dobrze zrobiło spektak-łowi.

Młodszy również wiek Głumowa i pewne pozory niewiniątka, nie-śmiałego młodzieniaszka podkreśla-ły, odwrotnie, rzeczywiste zepsucie tej postaci. Warszawski Głumow, Zb. Łobodziński, niedawny młody Grandet na Wybrzeżu, wygrał nie-źle tamte momenty, natomiast nie-umiał uprawdopodobnić acytrud-nej, a wspaniałej sceny, w której u-da-je przed wujem głupca, Brakowa-ło mu także trochę tego odcienia prawie arystokratyzmu, jaki nadał swej sylwetce i grze Cariew. Matce Głumowa (L. Bracka) zabrakło te-go odcienia zupełnie i zamiast eks-ziemianki, stworzyła typ żalosnej mieszczki, jak rajfurka stręczącej swego syna.

Wśród dalszych postaci warto zwrócić uwagę na dziennikarza-szantażystę Golutwina (K. Zarzyc-ki), bogatą mieszcankę i obłudną dewotkę Turusinę (M. Wojdaliń-ska). Interesujące momenty mieli H. Gruszecka (opętana Maniefa), K. Petecki jako mętny liberał (tylko czemu fajtlapowaty?) Gorodulin, K. Dembowski, zbyt jednak dobrodusz-ny, niegroźny i w typie raczej dic-kensowskim jak na Mamajewa, wreszcie S. Zakrzewska (Maszeń-ka), która nie może jakoś doczekać się roli odpowiadającej jej warun-kiem i aktorskiemu temperamentowi. Bardzo brzydkie były tym ra-zem dekoracje Andrzeja Sadow-skiego, tandetne i dziwaczne w bar-wie — trudno było nawet zrozu-mieć intencję tej scenograficznej brzydkiej fantastyki.

„Teatr przestarzały, z postaciami zbyt wąsko rosyjskimi, że zbyt sta-bym współczynnikiem ogólnolud-zkim, teatr niezdolny zatem do po-budzenia myśli nowoczesnej” — tak referował J. Patouillet w r. 1912 (w 500-stronicowym dziele o „Ostrow-skim i jego rosyjskim teatrze oby-czajów”) — nie podzielał ich zresztą — główne zarzuty stawiane na Zachodzie dramaturgii Ostrow-skiego. Sądy podobne wypłynęły za pewne z bardzo małej znajomości tego pisarza, zwłaszcza w samej Francji. Wobec błyskotliwej, nowo-cześnie ironicznej, jednej z najbar-dziej oryginalnych, komedii „I koń się potknie” szczególnie trudno by-łoby je podtrzymać.

Komedie tę przenika wyraźniej-sza niż w którymkolwiek innym utworze Ostrowskiego dążność po-stępowa. Pisarz ukazuje tu w nie-równości ekonomicznej, powodującej wyzysk, oraz w zacofaniu umysłowym i społecznym główne źródła zła i ohydy świata, w którym żył.

Ostrowski mówi tą komedią, że wyzysk prowadzi do nędzy, a nędza upadła; ciemnota natomiast i zacofanie utrwalają wyzysk, nędzę i u-podlenie, nie pozwalając na dokona-nie się twórczych przemian. Jest w widowisku kapitalna scena, w któ-rej pozujący na męża stanu generał Krutickij zachwyca się ujętą pi-sem nie przez Głumowa kwintesencją własnych myśli o „szkodliwości wszelkich reform”. Sama ta scena wyjaśnia w komedii wszystko.

Dobrze się stało, że świetny tłumacz Jerzy Jędrzejewicz przyswoił nam ten właśnie utwór Ostrowskie-go. Uczynił to zaś szczęśliwie, znaj-dując często piękne i trafne równo-ważniki dla bogatego, obfitującego w przysłowiowe zwroty i czerpiące go z ludu — słownictwa Ostrowskie-go. Tak szczęśliwie, że łatwo wyba-czyć drobne uchybienie. Dobrze się też stało, że Teatr Ludowy por-wał się na tę świetną satyryczną ko-medię i ukazał ze swej sceny, jak to jeszcze nie dawno temu „wy-chodziło się na ludzi”.

Andrzej Odnowa

Leszek PROROK

## Gorki na scenie poznańskiej

DOM Bezsjemionowów, którego przerażająca martwa niezmię-nność ciąży nad widzem przez cały czas „Mieszczan”, jest jed-nak mimo atmosfery duchowej ciasnoty areną nader szeroką. Mieś-ci bowiem i uwidacznia z niezwy-klą siłą wyrazu wszystkie proble-my i konflikty, jakie załamały się — niczem w soczewce — w mi-astach i miasteczkach rozległej pro-wincji rosyjskiej na przełomie XIX i XX stulecia.

Znikomość akcji, spotęgowana nieruchomością oprawy, działa w „Mieszczanach” wbrew utartemu przekonaniu. Nie głośny lecz po-łębnie wyrażistość postawy czło-wieka. Nie ruch, lecz bezruch, któ-ry jest programem życiowym go-spodarzy tych wnętrz, obniża isto-tę związków ludzi z życiem.

Przeciwko krańcowemu ograni-czeniu horyzontów myśli i działa-nia, przeciwko pełnemu desinter-ement, jakie zatykając skwapli-wie oczy i uszy dekoruje mieszc-zanin wobec bolączek świata za cenę przedłużenia własnego błogo-stanu, przeciwko temu wszystkie-mu, co uosabia Bezsjemionow ro-dzi się bunt.

Wybucha on na różnych pozy-cjach. Od zarazy w samej Grenad-zie, sprzeciwu młodszego pokole-nia mieszczańskiego, któremu wiek i wykształcenie nie pozwalała otor-bić się głuchota wobec sygnałów czasu, poprzez dynamiczną niena-wiść Tietieriewa, poprzez akcenty lekliwej dezaprobaty ze strony Pierczychina, do jedynego owocne-go buntu Niła i Poli. Tych dwoje to jedyni na scenie wśród pierw-szoplanowych postaci ludzie pro-gramu pozytywnego.

Bunt Pawła i Tatiany, dzieci Bezsjemionowa, wypływa z egoisty-cznego indywidualizmu, kultu pe-łni życia jednostki, która chce zer-wać zależności społeczne, chce się uchylić od twórczego wkładu w ży-cie zbiorowości. Bunt ten zaczyna się od najłatwiejszego starcia z patriarchalizmem, silniejszym w twierdzeniach mieszczaństwa, niż w innych kregach społecznych.

Klucz do pełnego zrozumienia „Mieszczan” stanowi osoba Tietie-riewa, śpiewaka cerkiewnego, filo-zofa-buntownika, dyszącego niena-wiścią do świata Bezsjemionowych. Jest to najbardziej świadoma, naj-głębiej rozumująca postać sztuki, najłatwiej przeto wziąć jej rolę za porte-parole autorskiej krytyki społecznej, tak jak Nił wyraża per-spektywy nadchodzącego świata.



Państwowy Teatr Nowy w Poznaniu. „Mieszczanie” Gorkiego. B. Frej-tazanka (Tatiana), B. Wojciechowska (Akulina Iwanowna), A. Gajdecki (Bezsjemionow).

Fot. Maksymowicz

Moc własna Tietieriewa, której nie pozwolił spożytkować układ społeczny, obraca się przeciw nie-szczęśliwemu, niszczy go, rzuca w pijaństwo, w samozagładę. Świa-domość bez siły rodzi gorycz. W sylwetce tej goryczy i pe-d do samo-zniszczenia zadźwięczy chwilami odległym pogłosem bohaterów Do-stojewskiego. A jednak Tietieriew, przenikający nawskroś domo-wników i gości, jacy przewijają się przez zapleśniałe domostwo, znaj-duje się już na pograniczu świata Poli i Niła, który rozsądził ciasno-tę ścian mieszczańskich i, wyrasta-jąc ponad negację, czy jałowy bunt pragnie budować własne życie na podstawach, zgoła odmiennych od moralności Bezsjemionowów czy braku oblicza i kośca ich dzieci. Tragiczny, rozdwojony, skompliko-

gowany Tietieriew, granicy tej nie przekroczy.

„Mieszczanie” powstał w 1900 r. Rosyjska prapremiera sztuki odby-ła się w 1902 r. Osiem miesięcy póź-niej wystawiono arcydzieło Gorkie-go w Polsce. Ostatnia premiera dramatu w Teatrze Nowym w Poz-naniu zbiega się przeto z półwie-ciem tradycji polskich inscenizacji. Tradycja ta liczy w rzędzie odtwó-rów czołowych ról sztuki najtęższe siły naszego teatru, Ludwika Sol-skiego (Pierczychin), Kazimierza Kamińskiego (Tietieriew) i in-nych, nakłada zatem na każdą następną inscenizację obowiązek maksymalnego wykorzystania moż-liwości twórczych zespołu.

Najnowsza realizacja zaliczyć można do staranniejszych pod wzglę-dem aktorskim przygotowanych premier poznańskich ostatnich mle-sięcy.

Czołowe kreacje aktorskie przed-stawienia stworzyli: Pierczychin (J. Kordowski), Tatiana (B. Frejtażan-ka), Bezsjemionow (A. Gajdecki) oraz mimo pewnych zastrzeżeń Tietieriew (Wł. Woźnik, zarazem inscenizator sztuki).

Pierczychin Kordowskiego należy do tych średnich rozmiarów, lecz wypracowanych kreacji, które dla swego charakterystycznego wyrazu utrwalają się na długo w pamięci widzów. Celował w nich zmarły niedawno Zygmunt Noskowski. Ja-ko zdziwaczały ptaszniak Kordowski pokazał daleko idące zesbrojenie tekstu z gestem, Pierczychin prze-siał w lasach do cna ptasim oby-czajem, to też ruchy miał skaczą-ce, ścią ptaśie pochylene głowy, był nieporadny wobec bezcelności. Wszystko to godzi się z ucieczką starca od życia, z poszukiwaniem spokoju wśród ptaków.

B. Frejtażanka włożyła dużo sta-ranności w opracowanie mimicznej strony swej roli. Chwalebny to na poznańskim gruncie, ale niestety rzadki objaw. Partiom słownym do chwili usiłowania samobójstwa za-brakło ze szkoda silniejszego wy-razu rozterki, jaka wstrząsa córką Bezsjemionowa. Pewna monotonia, uzasadniona była dopiero później, na znak rezygnacji. W kreacji A. Gajdeckiego podbrzeście trzeba po-prawne szybko opanowanie wiel-kiej roli, która pozostała po zmar-łym nagle B. Rostanie. Wł. Woźnik żyty jest z rolą Tietieriewa; poru-sza się w niej swobodnie. Pretensje pod tym adresem dotyczą nie wy-konania, ale raczej wyboru zasad-niejszej koncepcji postaci nadmier-

nie przechylonej w dekadencją schyłkowość. Jerzy Krasicki okazał się w roli Piotra znacznie lepszy niż niedaw-ny porucznik w „Damach i huza-rach”. W postaciach Niła (Zb. Jó-zefowicz) i Poli (U. Modrzyńska na zmianę z W. Rykowską) dźwię-czała nade wszystko młodość. Nił raził miejscami zbyt informacyj-nym, niepożebionym tonem swych słów. Nie zdała egzaminu Helena Kriwcowa (A. Zasadnińska).

Oprawa scenograficzna A. Bil-skiego spotkała się już w miejsce-wym pokłosiu krytycznym z uza-sadnioną ostrą odprawą. Naciśk została tu położony na wtórne efek-ty świetlne, a nie na wydobycie pełni specyficznych właściwości zatechnego małomieszczańskie-go wnętrza z przed pół wieku



Kazimierz SZWARCENBERG-CZERNY

# Wspomnienie o prof. Stanisławie Srokowskim

WIOSNA 1919 r. widywało się w pałacu Kronenberga, mieszczącym Biuro Prac Kongresowych, wysokiego, szczupłego, lekko przygarbionego pana, w zielonej marynarce, o pociągłej twarzy i głębokich myślących oczach, przesłoniętych wychodzącym już podówczas z mody pincen-nez. Na konferencjach odzywał się mało, ale gdy zabierał głos, każde zdanie było odważne i wskazywało, że pochodzi z ust człowieka o ogromnej i wszechstronnej wiedzy. Był to Stanisław Srokowski — postać, o której mówiło się i pisało jako o człowieku niezwykłej pracy i energii. Srokowski miał za sobą głębokie i gruntowne studia w kraju i za granicą. Jako młody student zapisał się po zdaniu w 1891 r. matury w Krakowie, na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zaraz też zwrócił na siebie uwagę prof. Franciszka Szwarcenberg-Czernego, który jako następcą Wincentego Pola wykładał geografii. Profesor był wielkiej wiedzy, a uczeń wybitnych zdolności. Dość powiedzieć, że jako słuchacz III roku, otrzymał stanowisko asystenta na politechnice we Lwowie, gdzie też ukończył studia akademickie, po czym udał się do Przybramu i tam przez rok studiował w słynnej czeskiej Akademii Górniczej. Wkrótce przekonał się jednak, że nie jest stworzony na górnika. Ciągnął go daleki i szeroki świat, a przede wszystkim morze. Marzeniem jego było zostać marynarzem. Z powodu jednak krótkiego wzroku, zmuszony był być ze swoich marzeń zrezygnować. Zamnił ostatecznie pogodził się z dołą do człowieka „ładowego”, odbył kilkumiesięczną podróż po Afryce i krajach południowych.

Zdecydowany wreszcie na zawód nauczycielski obejmując posadę profesora w męskim seminarium nauczycielskim w Rzeszowie, okazując wielkie zaangażowanie do tego typu nauczania. Rzecz godna podkreślenia, że mając niejednokrotnie jako siła wybitną możliwość otrzymania posad w gimnazjach na lepszych warunkach, nigdy nie chciał porzucić pracy oświatowej nad przyzwoitym kadrem nauczycieli ludowych.

Z Rzeszowa Srokowski powołany został do Lwowa, a następnie do Tarnopola, gdzie aż do wybuchu pierwszej wojny światowej rozwijał działalność kulturalno-oświatową wśród ludności mieszczańskiej oraz biedoty miejskiej. Pierwszy rok wojny spędza Srokowski we Lwowie, po czym przed zajęciem tego miasta przez Austriaków wyjeżdża na Wschód. W Rosji spędza następne lata wojny i obserwuje całą bezmyślność rozkładającego się reżimu carskiego. W nadzwyczaj trudnych warunkach nie zaniedbuje pracy naukowej. Podręcznik geograficzny dla szkół wyższych napisał niemal z pamięci i wydany w tym okresie tego życia zdumiewa ogromem wiedzy i świadczą o niezwykłej pracowitości i zdolnościach autora.

Z końcem 1918 r. Srokowski powraca do Tarnopola. Powołany wkrótce do Warszawy bierze czynny udział w opracowywaniu materiałów dotyczących polskości ziem zagrabionych przez państwo pruskie. Od tej naukowej pracy odrywa go jednak fama, jaka za nim przyszyła. Fama głosząca, że jest nadzwyczajnym organizmatorem. I skoro w połowie 1919 r. wyłonila się kwestia repatriacji uchodźców polskich, których działania wojenne w 1915 r. często niepotrzebnie wyrzuciły poza obręb kraju, a którym obecnie Rewolucja Październikowa, uznająca niepodległość i prawo samostanowienia Polski, umożliwiła powrót do stron rodzinnych, zwrócono uwagę na osobę Srokowskiego i jemu to powierzono te misje.

Traktat Wersalski wchodził w życie w dniu 10.I.1920 r., a z nim aktualna staje się sprawa nawiazania stosunków dyplomatycznych i konsularnych z Republiką Weimarską. Uroczonienie konsulatów w Berlinie, Hamburgu, Monachium, Kolonii, Essen, Wrocławiu i Królewcu jest palącą potrzebą. Z uwagi na Prusy Wschodnie ten ostatni ma kapitalne znaczenie. Co przedewszystkiem tam upatrzono przedstawiciela, który jednak po paru dniach, powraca z Królewca nie czując się na siłach sprostować wrogim nastrosom. Wskazano mu być jednak obsadzony, a tu chętnych brak. Przed Królewcem wszyscy stronią jak przed zapowietrzonym krajem. Wówczas — nowo wzięto wysłać tam jako konsula generalnego — Srokowskiego. Z ta

chwila zachodził w życiu Srokowskiego fakt, który miał w sposób decydujący załączyć na rozumieniu przez opinię polską zagadnienie Prus Wschodnich.

Srokowski przybywszy do Królewca, z całą odwagą zajmuje wobec pruskich władz taką pozycję, jaka odpowiadała godności przedstawiciela państwa, z którym enklawa wschodnio-pruska była najbardziej zbliżona. Baczny okiem uczynnego, geografiko-ekonomisty i patrioty zaczyna przypatrywać się krajowi i wszechstronnie badać różne jego problemy i tajniki. Są to właśnie czasy, gdy w myśl Traktatu Wersalskiego rozbrajano Niemcy, którym wolno było mieć jedynie zaciężną armię złożoną z 200.000 „zawodowych” żołnierzy zacięgniętych na 12 lat. Otóż Srokowski pierwszy wykrył, że Niemcy nie przestrzegają postanowień Traktatu, fałszując księżeczki wojskowe i po 2-letniej służbie zwalniali żołnierza, zastępując go innym. Czyniono to w dowolny sposób zmieniając w księżeczkach fotografie. Nawisko zostawało to samo. W ten sposób Niemcy zamiast przewidzianych przez Traktat 200.000 ludzi, mieli już w r. 1921 200.000 rezerwistów, w następnym zaś 400.000 itd. Po upływie 12 lat „traktatowej” służby wojskowej miał 200.000 wysłużonych najemników, dysponowali oni już 1.200.000 doskonale wyszkolonych żołnierzy-rezerwistów i 200.000 w czynnej służbie. On również ustalił, że w pustkowiach wschodnio-pruskich, nad morzem, Niemcy po siadają strzelnicę dla dział o zabromionym kalibrze. Sprawa była poważna, bo był to bowiem niezłomy dowód, że Niemcy nie tylko nie przestrzegają Traktatu Wersalskiego, ale przewyższają go właściwie sobie precyzją — nowa wojna. Gdy ówczesny *Chargé d'Affaires* w Berlinie udał się do przewodniczącego Komisji Rozbrojeniowej Alianckiej, którym był generał francuski, ten zbawiałował sprawę, określając ją jako wymysł bujnej fantazji! Tak Alianci „rozbrajali” Niemców, obecnie czynią to jeszcze lekkomyślniej uzbrajając ich wprost...

POD koniec 1921 r. Srokowski zabierając ze sobą ogromną znajomość problematyki wschodnio-pruskiej powraca do Warszawy.

W ciągu następnych lat wyjeżdża do Niemiec, Belgii, Holandii i Skandynawii. W 1924 r. przechodzi na emeryturę, nie wycofując się jednak z życia publicznego, a rozpoczynając nowy etap działalności. Jako geograf który wszedł ze światem w szkołę Srokowski doskonale orientował się w zagadnieniu geopolitycznym położenia Polski. Pobyt w Królewcu i Prusach Wschodnich, następnie zaś w Hamburgu, dał mu do ręki te wszystkie elementy, jakie w działaniu i w argumentacji posiada ten, co zna za gadnienia również „de visu”.

W związku z tym podejmując i dopracowując w 1925 r. do założenia w Toruniu Instytutu Bałtyckiego, którego zadaniem ma być badanie problemów Bałtyku i związków z nim obszarów, a więc w pierwszym rzędzie Prus Wschodnich.

Rezultatem długich studiów, badań w terenie i przemysłów, była wydana w 1925 r. w Poznaniu 60-stronicowa rozprawa „Z krainy Czarnego Krzyża” — uwagi o Prusach Wschodnich”, w której bez obłonek, ale bardzo rzeczowo obrazuje położenie tego kraju. Stwierdza, że jest on mimo wszystkiego co Niemcy usiłują cłań zrobić, chory, w stanie upadku, z powodu odcięcia od jedynego naturalnego swego sojusznika geo-gospodarczego, jakim są ziemie Polski. Wykazuje, że w rełkach krzyżackich, a następnie pruskich kraj ten był i jest stałym niebezpieczeństwem dla Polski i krajów wschodniej Europy i, że stąd wychodzi wszelkie impulsy imperialistycznej polityki niemieckiej, skierowane przeciwko Polsce, krajom nadbałtyckim i ziemiom Rosji.

Książka ta wywołuje ogromne wrażenie w Polsce. Większe jeszcze w Niemczech. Do kontraktaku mobilizują Niemcy publicystę Maxa Worgitzkiego, który wydaje książkę pt. „Ostpolussen Selbstbestimmungskresht oder Gewalt” — odno wiedź Srokowskiemu, która wywada niesłychanie błędnie. Miara jej poziomu jest, że Worgitzki powołuje się na wielkiego „poetę” polskiego Henryka, Sienkiewicza! Na rzeczowe dowody i źródłowe dane

Srokowskiego o dekadencji Prus Wschodnich, nie ma Worgitzki żadnych argumentów.

Srokowski rozwija także ogromnie ożywioną działalność odczytową, szerząc w społeczeństwie polskim znajomość zagadnień geopolitycznych, spraw narodowościowych i ekonomiczno-geograficznych, a nade wszystko znajomość Prus Wschodnich, o których do wybuchu II Wojny Światowej ogłosił przeszło 24 prace o wysokiej wartości. Szerzył one w społeczeństwie polskim znajomość sprawy wschodnio-pruskiej, a niektóre wyszyły również w języku angielskim i francuskim. O to zaś, aby działalność Srokowskiego była dobrze znana w Niemczech, dbali sami ówczesni niemieccy rewizjoniści, którzy choć nienawidzili autora, nie mogli zaprzeczyć jego kompetencji w sprawach dotyczących Prus Wschodnich i nie mogli znaleźć równowartościowych argumentów dla zblizcia jego tezy.

W ten sposób Srokowski stał się twórcą polskiej doktryny dotyczącej Prus Wschodnich i moralnym sprawcą rosnącego z każdym rokiem zainteresowania się tym krajem jako osobną kwestią polityki międzynarodowej, tak w Polsce, jak i w Europie. Wykazywał straszliwą wymową cyfr i danych rzeczowych, że cały ten piękny kraj należy do ekumeny polskiej i jeśli ludność jego po prostu ucieka, a rozwój jego jest zahamowany, to tylko dlatego, że Prusy w swym dziejowym rozwoju nie poszły po linii zespolenia się z ziemiami polskimi, ale utworzyły pomiędzy Bałtykiem a dawną i nową Rzeczpospolitą twór sztuczny, usiłujący żyć własnym, odrębnym życiem. Jedynie zawrócenie z tej błędnej dziejowej drogi może uratować przy-

szłość tego kraju i przywrócić mu jego stam naturalnego dobrobytu. Wykazywał Srokowski sztuczne germanizowanie tamtejszej ludności, żądał aby Mazury i ludność polskiego pochodzenia powróciła do swego pnia macierzystego. W swych wypowiedziach zastrzegał się przeciwko jakimkolwiek sugestiom wojennym i imperialistycznym. Wskazywał jako uczony na obiektywną ocenę sytuacji, wymogów faktów, wierzył, że słuszność wymogów życiowych weźmie górę. Zalecał cierpliwość i wiarę.

Zasługą Srokowskiego na odcinku problemu wschodnio-pruskiego jest to, że wpajał on w społeczeństwo polskie dokładną znajomość tej kwestii i przeświadczenie o absolutnej konieczności jedynego racjonalnego jej rozwiązania.

Teza Srokowskiego znalazła swe ukoronowanie w Układzie Poczdamskim z 1945 r. Przewidywania Srokowskiego potwierdziły się w zupełności, w swej „Krainie Czarnego Krzyża” pisał bowiem przed 20-tu laty, że błędna polityka pruska skierowuje ten kraj na inne tory. Poczdam zrealizował na tym odcinku intuicyjne wnioski autora.

JESIENIĄ 1926 r. Srokowski odbywa podróż badawczą do krajów bałtyckich, w 1928 r. obejmuje na Uniwersytecie Jagiellońskim wykłady geografii, a w 6 lat później zostaje docentem. Został zwolniony z uwagi na wielki dorobek naukowy od wykazania się stopniem doktora i odbycia egzaminu habilitacyjnego. W tych latach wykłada również geografii gospodarczą na uczelniach warszawskich. Wszędzie kładzie szczególny nacisk na problematykę wschodnio-pruska.

Podczas okupacji Srokowski nie ustaje w swojej pracy. Pomijając działalność podziemną, zwróconą

przeciwko okupantowi, zajmuje się nadal studiami i tajnymi wykładami.

W Polsce oswojonej, po powrocie do zburzonej Warszawy, obejmując w 1945 r. stanowisko doradcy naukowego Ministerstwa Administracji Publicznej w zakresie podziału terytorialnego państwa, delimitacji granic i w ogóle problemów geograficznych. W lipcu 1945 r. zostaje powołany na członka Rady Naukowej dla zagadnień Ziemi Odzyskanych. Warszawskie wykłady uniwersyteckie z geografii podjął Srokowski w roku akademickim 1945/6. W Akademii Nauk Politycznych nieco wcześniej kontynuował je do końca roku akademickiego 1947/8, zaś na Uniwersytecie do ostatniej chwili swojego życia, bo w 1950 r. w czerwcu, leżąc ciężko chory w klinice, egzaminował jeszcze studentów.

Od chwili powrotu swojego do Warszawy, mimo wielu wyżej wspomnianych zajęć, równocześnie opracowuje Srokowski ostatnie wielkie swoje dzieło naukowe „Geografia „Gospodarcza Ogólna”, wydane w styczniu 1950 r.

O pracach prof. Srokowskiego, jako polskiego wielkiego uczonego na polu geografii, czasopiśmie naukowe Z. S. R. R. „Geografia w Szkole” nr 4 — 5, 1951 r. dając niejako wspomnienie pamiątkowe — wyraża się bardzo pochlebnie.

\*

S. p. Stanisław Srokowski był człowiekiem bezmiernie pracy. Miłość Ojczyzny, ofiarny wysiłek z odsunięciem na ostatni plan swego osobistego życia, bezwzględna pracowitość i kryształowa uczciwość — oto słupy granitowe, na których budował Srokowski możny trud codziennego życia.

Kazimierz Szwarcenberg-Czerny

## Czucie z rzeczywistością

Ciąg dalszy ze str. 4

Skoro zawiadło nas poszukiwanie stylu, który nie chce wynikać z natury przerastających człowieka wydarzeń, ogarnęła wielu pokusa wielkiej prostoty. Jest ona bardzo niebezpieczna wówczas gdy przychodzi po ciężkim zmęczeniu. Znamy dobrze ten pseudoklasycyzm zrodzony w klimacie wewnętrznej porażki i kapitulacji. Rezygnując, najłatwiej uwierzyć, że fakty zdają się określić się same. Wystarczy je po prostu nazwać, by w całej pełni zabrzmiwały. Rezygnując z męczeńskiej pasji uwypuklenia ich za wszelką cenę, czynimy je coraz bardziej płaskimi.

Wiadomo. Do literatury wtargnął znów język potoczny. Niejeden mówi przyciszonym głosem, jakgdyby trochę poniżej poziomu najgwałtowniejszych i bardzo głośnych wydarzeń. Ponieważ trudno im sprostać należy że zanotować w ich najsurowszej pierwotnej postaci. Z tą chwilą literat przeobraził się w stenografa i kronikarza współczesnej historii. Po prostu zebrał materiał. Posłużył się mową milionów oczekujących, że powie coś więcej niż to, co wszyscy razem ujrzeli. Z czegoż wynikała swa iście pojęta asceza? Czy z lęku, by książka nie stała się nieczytelna poza towarzyszącą jej rzeczywistością? Możliwe. Ale skąd my wiemy, że w rezultacie okaże się trwalsza od dziwacznych przerosłów baroku? Nikt nie da takiej gwarancji. Styl nudny najszybciej umiera! Literat zdający sprawę z czasów okupacji, apeluje wciąż jeszcze do istniejącego w nas przeciwieństwa bezpośrednich wojennych skojarzeń. Czyniąc tak, nie wszystko musi forsownie i aż do końca wyrażać. Czasem po prostu tylko napomyka, wspomina i rejestruje zamiast rzecz całą ukazać. Lecz kiedy skończy się to żerowanie na doświadczeniu i wiedzy żyjących obecnie po koleń, młodzi zaczyna was czytać inaczej i wtedy dopiero wyjdzie na jaw, ile kto zdołał wysłowić.

Być może — nie znalazłono języka dla klęski. Stąd wynika jątrzący nie dosyt, powszechny wyrzut sumienia, pragnienie nowych rozwiązań, Woj-

rze, nijakiej i żadnej, pozbawionej wszelkiego wyrazu. Zatarła została granica pomiędzy prostotą i banalnością. Trzeba ją ostro wyznaczyć. Nie bać się krwistych i szokujących określeń, skończyć z imitacją belkotu prostego człowieka, który mówi o wiele dosadniej i lepiej od wielu piszących. Nasza mowa powinna być wyzywająca, wtedy przestanie być nudna. Jest to oczywiście jedna z wielu możliwych propozycji. Myślę, że dalsze sprowokują was jeszcze gwałtowniej. Nie można mówić w sposób dla wszystkich właściwy, bo wtedy się nic nie wyraża. Rudnicki dobrze wie o tym, że najszybciej zatracca się pisarz posłuszny złemu zrozumiemu i zmieniającym się ciągle konwencjom, które powinien sam tworzyć, by ciągle wychodził po za nie. Wiadomo, jak bardzo zawodne są wszelkie recepty i pouczenia rodzące się w oderwaniu od żywych doświadczeń literackiego warsztatu. Pisarzowi nie może wystarczyć politycznie trafna ocena przedstawionych w utworze wydarzeń. Przekonalimy się, że poprawność ideologiczna nie zastąpi nam dobrze zbudowanego człowieka konfliktu czy charakteru. Można bezbłędnie interpretować zjawiska, świetnie chwycić właściwy kierunek przemian dziejowych a kładąc jedną postać za drugą i nie mieć o swoich bohaterach nic do powiedzenia. Ideologia dla artysty stanowi punkt wyjścia. Strzałka kierunku. Fundament i perspektywy, ale nie gorset krępujący swobodę wewnętrznych poruszeń. Prawdziwy pogląd na świat zapobiega jedynie fałszywej interpretacji przedstawionych zdarzeń, strzeże nas od wypaczenia ich sensu, ale nie jest w stanie ożywić ludzi o których piszemy. Rudnicki trafnie pojął konieczność ukrycia schematu orientacyjnego poza faktami jakie artysta pragnie w swym dziele przedstawić. Sprężyny powinny tkwić wewnątrz. Wtedy najlepiej działają.

(Dokończenie nastąpi)



## FILM

## F A N F A N T U L I P A N

## PIOSENKA I LEGENDA

JEDNA z popularnych francuskich piosenek ludowych, powstała podobno za czasów Restauracji, opowiada o małym pięknym doboszu, który zakochał się w córce króla.

tycznej i historycznej. Akcja filmu „Fanfan la Tulipe” dzieje się za panowania Ludwika XV. Epoka przedstawiona jest nie tylko przez stroje, dekoracje, nazwiska, i wszystkie zwykłe rekwizyty filmu historycznego ale głów-

Lekki, swobodny, pełen ironii dialog napisany przez Jeanson'a nadaje fantastycznemu przygodom Fanfana doskonałe realistyczne tło. Ton dialog i komentarza utrzymany jest w stylu popularnych ludowych piosenek francuskich w rodzaju „Malborough s'en va t'en guerre” tej słynnej piosenki charakterystycznej przez zabawno ironiczny sposób opowiadania o śmierci Malborough'a.

## GDY WYBUCHAJĄ BECZKI Z PROCHEM

GŁÓWNYMI zaletami filmu są jednak zalety wizualne. Scenarzysta musi przetłumaczyć na język filmowy treść powieści i nie może najlepsza i najciekawsza fabuła, jeśli nie otrzyma dobrej interpretacji artystycznej. W tym wypadku świetne pomysły przygód Fanfana, poparte doskonałym komentarzem i dialogiem zamieniły się w kolejne obrazy i dźwięki, sekwencje i zdjęcia ujęte w doskonałą pełną rytmu całość. Wyraźnie widać, że twórcy tego filmu w pełni dostosowali treść do nieskończonych (jak się okazuje) możliwości kamery filmowej i mikrofonu, wykorzystując każdą okazję do rozśmieszenia i zaskoczenia widza. W momentach gdy widz ma uczucie, że najbardziej nieprawdopodobne już się wydarzyło, dzieje się jeszcze coś bardziej niesłychanego. Cała widownia dosłownie z zapartym oddechem śledzi fantastyczny pojedynek Fanfana z rywalem na dachu, niesamowity upadek obu, i sceny kiedy w dziwny sposób znajdują się już na ziemi, żywi i cali a wszyscy oddychają z ulgą... wybuchają beczki z prochem.

Podobnych momentów i sytuacji jest w tym filmie wiele. Świetny dynamiczny montaż uzupełnia te efekty, poparte najbardziej nieoczekiwanymi skocznościami. Film z samej natury łatwo wiąże się z fantazją, osiągając za pomocą zwykłych tricków fakty nieprawdopodobne. Świetny operator tego filmu Christian Matras w pełni wykorzystał

wszystkie możliwości swego kunsztu, obrazując wspaniale wyczysty Gerarda Philippe. Trudno jest też uwierzyć, że część zdjęć p'enerowych filmu została wykonana podczas upalnego sierpnia na Lazurowym Wybrzeżu a część podczas zimy w Paryżu, tak świetnie są ze sobą zsynchronizowane. Obiektym Christiana Matrasa wędruje mistrzowski z góry na dół pokazując efektowne pojedynki na dachach, murach, wieżach, karkołomne skoki, ciecica szabłą, udostępniając ciekawe zbliżenia, pokazując kolejne szczegóły najbardziej nieprawdopodobnych bitek. Trików w tym filmie jest mniej, niż sądzimy. Lekkie, swobodne ruchy Fanfana i innych bohaterów osiągnięte zostały nie przez sztuczki montażu, lecz przez wielki zapal i wysiłek całej ekipy realizatorskiej. Reżyser Christian Jaque omawiając realizację tego filmu w postępowym tygodniku L'Ecran Francais, opisuje jak w pewnym momencie musiano przetrwać zdjęcia na okres czterech tygodni, gdyż większość ekipy realizatorskiej z powodu takich czy innych obrażeń cielesnych była niezdolna do pracy.

## GERARD PHILIPPE JEST CHYBA NAPRAWDĘ FANFANEM?

ZASADNICZA konstrukcja scenariusza tego filmu polega w dużej mierze na powiązaniu wielu sytuacji i wypadków osobą bohatera, na którym jednocześnie spoczywa ciężar wszystkich elementów fabuły. Rola taka wymaga od aktora oprócz talentu wiele doświadczenia i wyczucia, przymiotów fizycznych jak zręczność, wygimnastykowanie, umiejętność fechtunku. Pełnym osobistego uroku, prawdziwym bohaterem z bajki jest doskonały aktor francuski Gerard Philippe. Jego interpretacja tej wdzięcznej i trudnej roli jest szczerą, bezpretensjonalną, pełną świeżości i młodości. Można mieć żądanie, że natura stworzyła go specjalnie do tej roli (podobno w ten sposób z takim zapalem w pojedyn-

kach, że z niejednej utarczki filmowej wychodził ciężko poturbowany). Gerard Philippe potraktował swą rolę zupełnie na serio grając przy tym z taką swobodą, jakby pojedynki, szalone pościgi, zdobywanie podstępem twierdzy, strzelanie jedno-cześnie z piętnastu karabinów zdobytych na wrogu należały do jego zwykłych, codziennych zajęć. Charakterystycznym jest fakt, że wszyscy aktorzy naprawdę przeżywają swe role, że wiele sytuacji musiało powstać spontanicznie w wyniku innych — a jednym człowiekiem, który czuł nad dozowaniem i stopniowaniem emocji widza był reżyser.

## MISTRZOWSKA REŻYSERIA CHRISTIAN JAQUE'A

FILM „Fanfan la Tulipe” jest dziełem, w którym na pierwszy plan wybija się wspaniała koncepcja całości. Romantyczna, pełna ironicznej poezji atmosfera filmu awanturującego, została doświadczonej ręką reżysera umiejętnie zharmonizowana z finezyjnym dialogiem z krytyczno-ironicznym komentarzem wypadków historycznych. Christian Jaque należy do tych twórców filmowych, którzy od momentu powstania scenariusza do montażu ostatniego zdjęcia, od najmniejszego ruchu aktora do drobnego szczegółu dekoracji, czuwają nad filmem dążąc do określonego celu artystycznego. Każdy twórca przekazuje w swym dziele pewne poglądy, interpretując jakiś obraz życia, świadomie czy nie świadomie sugeruje w nim pewne koncepcje i idee.

Christian Jaque w swym filmie w dowcipny, subtelny sposób ośmieszył wojnę w jej wszystkich aspektach. Sukces jego jest tym większy, że stworzył wartościowy film nie dla elitarnego widza, lecz typowy film dla szerokiej publiczności — której trudno jest dogodzić, gdyż jak powiedział René Clair — „Publiczność obdarzona jest największym geniuszem”.

L. Gielniwska



Ta piosenka ludowa „Le petit tambour” w połączeniu z legendarną postacią dobrego wojaka Fanfana — ludowego bohatera stworzonego przez historię częstych wojen, jakie lud francuski musiał prowadzić dla zaspokojenia ambicji swoich władców — stały się tematem scenariusza filmu „Fanfan la Tulipe”

## OPOWIEDZ MI BAJKĘ

KĄDZY przeciętny widz filmowy idzie do kina po to, aby pokazać mu na ekranie jakąś ciekawą historię. Gdyby można było skonkretyzować to żądanie, skierowane do twórcy filmu, brzmiałoby ono chyba podobnie do prośby słyszanej od dzieci: „Opowiedz mi bajkę...” Przygody Fanfana są właśnie taką ciekawą historią, bajką dla dorosłych, jaką każdy z nas chętnie zobaczy, posiadającą ponadto wszystkie cechy naszych młodzieńczych marzeń — awanturność, fantazję, sensację, świeżość i pogodę.

Nawet wątek miłosny filmu zbudowany jest, jakby na podstawie marzeń młodości, w których piękna, młoda i naturalnie nieszcześliwa dziewczyna jest jedynie niezbeżnym elementem prawdziwie romantycznej przygody, stanowi cel pojedynków, nagrodę za bohaterstwo czyni. Jesteśmy jednak ludźmi dorosłymi i gdy żądamy od twórców filmowych ciekawej historii, pragnęlibyśmy w nią uwierzyć, szukając w bohaterze cech własnych lub naszych bliźnich, chcąc nawet najbardziej nieprawdopodobne wypadki porównać z jakimś konkretnym wydarzeniem.

Doskonali scenarzyści tego filmu René Weiler i René Fallet dali realne tło przygodom Fanfana, umieszczając swego baśniowego bohatera w konkretnej sytuacji poli-

nie przez precyzyjny, subtelny komentarz. Jedną z wielu zasług twórców tego świetnego scenariusza jest sparodiowanie ówczesnej wojny, dowcipnie nazwanej „la guerre en dentelles” (wojną w koronkach) polegającej na rozrywce panujących, na zaspokojeniu ambicji tych właśnie marszałków o których czytaliśmy na lekcjach historii. —

## »Realia mickiewiczowskie«

POD tym tytułem ukazała się na rynku księgarskim książka Leonarda Podhorskiego-Okolowa<sup>1)</sup> „Realia mickiewiczowskie” — zbiór artykułów pisanych i drukowanych, w przeważającej części, na łamach czasopisma w okresie międzywojennym.

Charakter studiów o twórcy „Dziadów” nosi znamiona prac analitycznych, drobiazgowych, przyczynkarskich — co przeważnie niechętnie usposabia czytelnika, orientującego się tylko ogólnie w poruszanych zagadnieniach. A mimo to szkice Podhorskiego sprawiają dużo radości i niemałą satysfakcję nawet przeciętnemu odbiorcy literatury pięknej. Z czego to wypływa? Bliskie prawdy wydają się przypuszczenie, że o powodzeniu książki Podhorskiego zdecydował sposób ukazywania i interpretowania pewnych faktów z życia poety. Jaki jest zakres zainteresowań autora „Realii Mickiewiczowskich”? Przede wszystkim fakty, zdarzenia, ich okoliczności, stosunki poety, chociażby niektóre z nich były drobne, błahe, pozornie nieważne i niegodne wzmianki.

Stanowisko Podhorskiego jest jasne i zdecydowane: nie ma rzeczy nieważnych i błażych, gdyż nawet szeze góły wyjaśniają i tłumaczą zjawiska zasadnicze, centralne. Aby się o tym przekonać wystarczy zanotować niektóre zagadnienia omawianej pracy: problem miejsca i czasu urodzenia się poety, przebieg jego lat dziecięcych, szkolnych, pierwsza lektura i

młodzieńcza twórczość, dzieje miłości (szczęśliwej i nieszcześliwej), przyjaciele, pobyt w Rosji, źródła czwartej części „Dziadów” oraz powracająca zawsze kwestia fikcji i rzeczywistości w twórczości poetyckiej.

Zapewne, pisano już o tych rzeczach wiele i mądrze, ale książka Podhorskiego ukazuje te sprawy w sposób bardziej szczegółowy, od strony mniej znanej, intymnej i fascynującej.

Ciekawy jest zwłaszcza rozdział książki „Przeoczone źródło „Dziadów” części czwartej”. Podhorski stara się w nim przeforsować twierdzenie o zależności czwartej części „Dziadów” od „Zbójców” Schillera. Hipoteza nowa. Czy słuszna? Przypatrzmy się argumentacji Podhorskiego. Uzasadnienia tej tezy krytyk doszukuje się w liście Mickiewicza do Jezewskiego (pisanym w czerwcu 1820 roku), w którym poeta mówi że „Zbójcy” są jego najmiłszą lekturą. Oczywiście list ten nie jest argumentem zasadniczym, pochodzi bowiem z roku 1820 — a więc kilka lat wcześniej aniżeli powstała „Dziadów”, część czwarta. Co więc przemawia za tym, że „Zbójcy” Schillera wpłynęły na koncepcję „Dziadów” części czwartej? Oba dramaty „reprezentują ten sam typ utworu skrajnie indywidualistycznego, ściśle mówiąc — t.zw. dramatu sercowego; w obu też źródłem inspiracji jest protest, bunt przeciwko bezwzględnie narzuconym normom i formom życiowym jako wyraz „przeciwstawienia się jednostki światu” (s. 71).

Zależności „Dziadów” części czwar-

tej doszukuje się autor nie tylko w ogólnej i podobnej atmosferze utworów, ale i w konstrukcji charakteru postaci, ich losu i perypetii (chodzi tu o szczególne podobieństwo postaci Gustawa z „Dziadów” części czwartej i Karola Moora ze „Zbójców”). Co można o tym powiedzieć?

Wpływ poezji Schillera daje się niewątpliwie zauważyć w twórczości Mickiewicza, czy jednak ujawnił się on w „Dziadach” cz. czwartej, trudno odpowiedzieć twierdząco bez zastrzeżeń. Należałoby przeprowadzić jeszcze szczegółowe badania, aby zwrócić uwagę na tezę. Bo przecież ogólna atmosfera utworów, typ konstrukcji postaci wykazującej pewne analogie między tymi dwoma dramatami nie świadczy jeszcze o jakiejś bezpośredniej zależności. Konwencje literackie romantyzmu chyba tu również decydowały o tym, że postaci autorów wykazywały takie a nie inne cechy charakteru (t.zn., że pewien typ bohatera był szczególnie ulubiony przez poetów romantycznych). Natomiast bardzo słuszne wydaje się zdanie Podhorskiego („Czy nie koniec bałamutnej legendy”), że „panujący dziś pogląd na charakter stosunków Mickiewicza z Sobańską winien ulec odpowiedniej zmianie a ewentualnemu wpływowi tych stosunków na twórczość poety należy wyznaczyć nowe, stokrój skromniejsze granice” (str. 236). Dlatego też identyfikowanie Sobańskiej z przedmiotem odeskiej miłości Mickiewicza ukrytym pod inicjałami „D.D.” miła się z rzeczywistością. Oczywiście na potwierdzenie tego wniosku Podhorski przytacza szereg dowodów, o któ-

rych nie sposób mówić w ramach krótkiej recenzji.

Prawdopodobna jest także inna hipoteza Podhorskiego odnosząca się do powstania „Dziadów” drożdżeńskich. Na podstawie listów poety i jego przyjaciół (oraz biorąc pod uwagę okoliczności pobytu Mickiewicza w Dreźnie) Podhorski przypuszcza, że „za pobytu poety w Rosji powstał ogólny plan poematu, jakaś pierwotna wersja Prologu, być może sceny więzienniczej” (s. 251). Naturalnie, jest to tylko hipoteza, której nie można brać za ostateczny wniosek. Szczegółowe badania może kiedyś rozstrzygną ten problem.

Z tego, cośmy powiedzieli nie trudno wysunąć konkluzję o dużej wartości książki Podhorskiego. Niepokój może czasem tylko metoda autora, nad którą ciągną pozostałości „biografizmu” i „psychologizmu”. Ujawnia się to zwłaszcza w ustawicznej tendencji do ścisłego zespolenia utworu poetyckiego z samym twórcą. Niebezpieczeństwo to tkwi przede wszystkim w tym, że chce się wytłumaczyć wszystkie zjawiska literackie jedynie za pomocą „autentycznych” przeżyć poety nie dostrzegając poza tym innych czynników.

Piękny, prosty, jasny bez niepotrzebnych ozdób styl Podhorskiego, duża precyzja i logika w stawianiu i rozwiązywaniu zagadnień decyduje o tym, że „Realia Mickiewiczowskie” czyta się z niemałym zadowoleniem mając to przeświadczenie, że książka ta zdobędzie właściwą sobie pozycję w dorobku nauki o Mickiewiczu.

Bronisław Mamon

<sup>1)</sup> Leonard Podhorski-Okolow: „Realia Mickiewiczowskie”, s. 265, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1952.



# Kryzysy cykliczne czy kryzys kapitalizmu?

ogarnęła prawie wszystkie państwa kapitalistyczne, trwał około 5 lat, faktycznie jednak ciągnął się aż do wybuchu drugiej wojny światowej. Diogotrwale, niespotykane w historii kapitalizmu załamanie się rynku światowego wywołało poważne zaniepokojenie wśród kół ekonomistów kapitalistycznych, badających zjawiska kryzysów od szeregu lat. Nie tu miejsce na powtarzanie różnych wyjaśnień o przyczynach długotrwałej depresji przed drugą wojną światową, zwłaszcza, że wyjaśnienia te mogłyby stanowić oddzielne opracowanie, natomiast wydaje się, że byłoby celowe zapoznać się przynajmniej fragmentarycznie z analizą kryzysów ekonomicznych w Stanach Zjednoczonych, opierając się na pracy prof. Harolda U. Faulknera — „American Economic History” — wyd. w Nowym Jorku, w 1943 r.

### III.

**K**SIĄZKA prof. Harolda U. Faulknera jest obszerną, przeszło 700 liczącą stron pracą historyczno-ekonomiczną, poświęconą analizie gospodarki Stanów Zjednoczonych, począwszy od okresu kolonizacji angielskiej i Waszyngtona, a skończywszy na roku 1942. Dzieło to, poparte wykresami, mapami i zdjęciami, jest typowym przykładem opracowania dokonanego przez kapitalistycznego ekonomistę. Abstrahując od szczegółowego omówienia tej pracy, która na pozór czyni wrażenie rzetelnego i wydawałoby się głębszego przestudiowania, jeśli nie wszystkich, to przynajmniej najważniejszych wypadków polityczno-gospodarczych, zaszłych w Stanach Zjednoczonych, należy zwrócić uwagę na jej tendencyjność. Prof. Faulkner oceniając osiągnięcia gospodarcze Stanów Zjednoczonych, jak też poddając analizie okresy ożywienia gospodarczych, przerywanych co kilka lat kryzysami, tkwi głęboko na pozycjach ekonomisty kapitalistycznego. Nie podając właściwych i istotnych przyczyn załamania się rynku zwraca uwagę przede wszystkim na kształtowanie się procesu koncentracji kapitału, poświęca wiele rozdziałów problemowi powstawania trustów, poolów, holdingów i koncernów, analizuje wpływ polityki finansowej banków i ich akcji wpływających na rozwój przemysłu i han-

dlu, zwraca również uwagę na kryzysy, jako na zjawiska, wpływające w sposób gwałtowny na zahamowanie i załamanie się produkcji. W trzydziestu jeden rozdziałach swej pracy daje prawie pełny obraz pęczniejącego organizmu, którego szybko, okresowy, gwałtowny rozwój zyskał miano „amerykańskiego” tempa.

Zajmując się tymi wszystkimi problemami prof. Faulkner pomija zupełnie zagadnienie robotnika, pracy roboczej, płacy, jak również przesuwa się koło bezrobocia tak, jakby sprawa ta nie posiadała znaczenia. Możliwe, że prof. Faulkner „zapomniał” uzupełnić tym problemem swą analizę przyczyn i skutków kryzysu 1929 roku, któremu poświęca specjalną uwagę. Trudno jednak zapomnieć, że kryzys ten wyłobił w gospodarce Stanów Zjednoczonych głęboką szramę, powodując w ciągu trzech lat (w okresie 1930 — 1932) bankructwo 86.500 przedsiębiorstw handlowo-przemysłowych oraz likwidację 9.000 banków. Kryzys 1929 roku odbił się przede wszystkim na klasie pracującej, powodując bezrobocie, sięgające w Stanach Zjednoczonych 13 milionów ludzi. Suma powyższa, wynosząca łącznie z rodzinami około 50 milionów ludzi, pozabawionych możliwości egzystencji, stanowi liczbę, z której trudno jest się wythumaczyć, a również niezręcznie podawać, zwłaszcza, że końcowa faza książki, poświęcona omówieniu realizacji polityki prezydenta Roosevelta, tzw. New Dealowi, pomyślała na jest jako optymistyczny akord odrodzenia amerykańskiej „prosperity”.

Omijając wszystkie drażliwe problemy, które podważyłyby jego wywody o pełni amerykańskiego dobrobytu, prof. Faulkner jest mocno zaintrygowany kryzysami. Sprawie tej poświęcił specjalny rozdział, jak też opracował ciekawy wykres, obrazujący rozwój ożywienia i załamań się gospodarczych Stanów Zjednoczonych w okresie od 1790 do 1940 roku. Podstawę do oceny „prosperity”, czy też kryzysu stanowi dla prof. Faulknera indeks cen, które w okresach załamania się gospodarki i depresji, spadają, natomiast gwałtownie rosną w okresach ożywienia gospodarczego. Trudno jest ocenić merytoryczną słuszność wykresu, zwraca-

### Dokończenie ze str. 5

szcza, iż prof. Faulkner nie podaje bliższych kryteriów opracowania, odsyłając do swej wcześniejszej, wspólnej z innymi ekonomistami pracy, pod tytułem „The American Way of Life”. Opierając się na powyższym wykresie możemy założyć, że daje on uproszczony i schematyczny obraz kształtowania się gospodarki w Stanach Zjednoczonych.

Analizując wykres można zauważyć, że wszystkie zjawiska gospodarcze, występujące na przestrzeni 150 lat historii Stanów Zjednoczonych, mają charakter wybitnie skokowy, gwałtowny. W całym tym okresie nie ma dwu sąsiednich lat, w których wskaźniki cen kształtowałyby się podobnie, względnie wykazywałyby jakąś stałą, wyraźną tendencję.

Następna obserwacja, jaką poczynić można jest ta, że zarówno okresy ożywienia gospodarczych, jak też kryzysów, trwają po kilka lat, po czym następuje gwałtowna zmiana sytuacji, powodująca skok cen o kilkadziesiąt punktów. Permanentna zmienność sytuacji stała się podstawą do spreycyzowania tak zw. cyklicznej teorii koniunktury. Z teorią tą ekonomika burżuazyjna wiąże pojęcie kryzysu, jako integralnej części cyklu. Cytowany przez prof. Faulknera amerykański ekonomista W. C. Mitchell podaje, że: „nowoczesny pogląd na zagadnienie kryzysu uznaje go za jedną z zasadniczych cech powracającego, komunkturalnego cyklu. Kryzys powoduje w konsekwencji depresję gospodarczą, po której następuje ożywienie gospodarcze, w wyniku ożywienia — dobrobyt, po nim zaś nowy kryzys. Cykle tego rodzaju spotyka się w Stanach Zjednoczonych od 100 lat”.

Nowoczesny ten pogląd (w oryginalnie „the modern view”) jest niczym innym, jak tylko przyznaniem się do bezradności kapitalistycznej ekonomiki, która zmuszona jest zakładać już a priori bezskuteczność i bezcelowość osiągniętego w jakimkolwiek okresie „prosperity”, podważonego już z góry przewidzianym załamaniem się rynku. Niewątpliwie, że teorie takie wywierają wielki wpływ na rozbudzenie się spekulacji, gry na giełdzie i hysterii finansowej, powodując sztucznie okresy ożywienia i raptownych załamań gospodarczych. Wystarczy tylko zwrócić uwagę na raptowne skoki cen w latach 1836 i 1839, czyli w okresach tak zw. boomu spowodowanego spekulacyjną akcją banków i giełd. Boom — jest to typowe wyrażenie amerykańskie, które trudno jest oddać w języku polskim. Termin „spekulacyjne ożywienie”, nie tłumaczy istoty zagadnienia. Boom to nie tylko ożywienie, to nie wyłącznie spekulacja, lecz jakaś dzika gorączka skoków cen, zawierania transakcji, które w rezultacie okazują się fiaskiem, jest to okres gwałtownego podniecenia i hysterii. Na wykresie można dopatrzeć się kilku okresów. Jest znamienne, że boom nie trwa z reguły dłużej, jak rok—dwa, po czym następuje gwałtowne załamanie się gospodarcze.

Następna obserwacja, której dostarcza nam wykres jest fakt, że okresy ożywienia gospodarczych związane są albo z boodem, albo co jest rzadsze, z rozbudową przemysłu i transportu, lub też z wojną. Wojna powoduje przestawienie produkcji po wojennej na wojenną, wzrost cen, wzrost zysków. Wzrost cen w okresie wojennego ożywienia odbija się wyłącznie na wzroście dochodów wielkich właścicieli kapitału, podczas gdy warunki egzystencji robotników, zatrudnionych w produkcji wojennej, ulegają pogorszeniu. Aby nie być gołosłownym warto przyto-

czyć ciekawą tabelkę prof. Faulknera, który sam przyznaje się, że: „O ile płace robocze rosły (od 1913 r. — przyp. Z.C.) aż do pierwszych miesięcy 1920 r., to ceny wykazywa-

R o k	Wskaźnik płac	Wskaźnik kosztów utrzy- m.	Wskaźnik realnych płac.
1913	100	100,0	100,0
1916	111	118,3	93,8
1917	128	142,4	89,9
1918	162	174,4	92,9
1919	184	188,3	97,7
1920	234	208,5	112,2

Wreszcie jeszcze jeden wniosek, wynikający z wykresów: wszystkie cykle możnaby podzielić na dwie, nierówne pod względem czasu grupy — na grupę krótkich, kilkuletnich cykli, które występują aż do roku 1929, oraz na cykle koniunkturalne po pierwszej wojnie światowej z głębokim, długoletnim kryzysem i następującą po niej depresją. Różnica między poprzednimi cyklami, a ostatnim jest zaskakująca. Nie oznacza ona wcale, jak to chcą uzasadnić niektórzy ekonomiści, że trwanie cyklu wykazuje tendencję do wydłużenia się. Różnica dotyczy nie tyle czasu, ile jakości. Przede wszystkim istotną cechą powojennego cyklu koniunkturalnego jest powszechność kryzysu.

Kryzys ekonomiczny w jednym państwie kapitalistycznym pociąga za sobą cały łańcuch następstw, w które są wplątane pozostałe państwa. Wynika to stąd, że w obecnym stadium kapitalizmu, w imperializmie, koncentracja kapitałów i ich wzajemne powiązanie jest tak silne, że załamanie się tylko jednego koncernu pociąga w skutkach katastrofę innych przedsiębiorstw, związanych z nim finansowo. Kryzys 1929 r. spowodował obniżenie się produkcji przemysłowej nie tylko w Stanach Zjednoczonych, lecz prawie we wszystkich państwach kapitalistycznych, m.in. w Anglii o 23,8%, w Niemczech o 40,6%, Francji o 32,9%, Polsce o 46,1%. Drugą cechą obecnego cyklu koniunkturalnego jest związek kryzysu przemysłowego z kryzysem agrarnym. Kryzys w rolnictwie jest

był wzrost jeszcze szybszy, powodując w konsekwencji spadek płacy realnej”.

A oto tabelka, potwierdzająca powyższy cytat:

problemem znacznie trudniejszym do opanowania, niż w przemyśle. Poprawa sytuacji w rolnictwie trwa zwykle całe lata i często hamuje ją nowy, gwałtowny kryzys przemysłowy. Dowodem powiązania kryzysu agrarnego z przemysłowym jest wielki spadek globalnego dochodu rolnictwa amerykańskiego z 13.824 mil. dol. w roku 1929 do 6.406 mil. dolarów w roku 1932.

Najistotniejszą jednak cechą współczesnego kryzysu ekonomicznego jest jego organiczne powiązanie z ogólnym kryzysem kapitalizmu.

Coraz ostrzejsze zaburzenia rynku światowego i zupełna nieskuteczność środków zaradczych, stanowią przesłanki dowodzące ogólnego załamania się kapitalizmu.

Nie należy wreszcie zapominać w tym historycznym procesie przeżywania się w świecie dawnego ustroju o roli i znaczeniu właściwego „gra-barza kapitalizmu”, o proletariacie. Rozwój świadomości klasy robotniczej, a przede wszystkim jej walka o swe prawa społeczne i polityczne, jak również zrozumienie przez postępującą część społeczeństwa istoty procesu wyzysku kapitalistycznego i jego negatywnej roli dla dalszego rozwoju ludzkości, są oczywistymi dowodami przeżycia się kapitalizmu. W procesie jego rozkładu wszelkie sprzeczności zaostrzają się, powodując w konsekwencji wyolbrzymienie następstw: długotrwałych kryzysów ekonomicznych, bezrobocia i wzrastającej nędzy ludności.

Zbigniew Czajkowski

## O moralności

(Dokończenie ze str. 3)

tym stopniu zawładnąć wpływami w życiu katolickim, że w dużej mierze uśpiły czujność wobec nadchodzącego faszystowskiego niebezpieczeństwa.

Dziś też nie może nam wystarczyć odpowiadanie zarzutom Jasienicy przez upominanie się o odróżnienie prawidłowej postawy katolickiej od postawy klasowej burżuazji. Stoi przed nami zadanie wyzwolenia tak świeckich, jak i duchownych instytucji katolickich z przemownych jeszcze wpływów burżuazyjnych.

W naszej dyskusji z Jasienicą na temat, czy katolicyzm należy identyfikować z moralnością burżuazyjną, czy też nie, rozstrzygnięcie ostateczne nie zależy od argumentów słownych, ale od faktów, które udowodnią, że katolicy potrafią się przeciwstawić wpływom burżuazyjnym, potrafią swój światopogląd konsekwentnie realizować, będąc jednocześnie solidarni ze sprawą klasy robotniczej i jej walki z imperializmem.

Zadanie nie jest łatwe. Z wielkiej spuścizny kulturalnej katolickiej XIX i XX wieku musimy przenieść to wszystko, co jest doktrynalnie wartościowe, a odrzucić to wszystko, co jest w niej nalotem mentalności burżuazyjnej.

W Kościele, w zakresie stosunków personalnych wśród duchowieństwa, hierarchii — katolicy muszą dążyć do wychowania nowego typu kapłana, który, będąc prawdziwym kato-

lickim księdzem, pozbędzie się nawyków myślowych i byczajowych, jakie mu narzucało przez dziesiątki lat otoczenie bądź to burżuazyjne, bądź to feudalno-arystokratyczne.

Najważniejszym, bo najpilniejszym zadaniem jest jednak odcięcie naszej katolickiej aktywności od wpływów politycznych, płynących dziś bezpośrednio z imperialistycznych ośrodków dyspozycji. Politycy amerykańscy są zdecydowani uczynić z aktywności katolickiej posłuszne narzędzie swych własnych, agresywnych planów. Na Zachodzie bezwzględnie w znacznej mierze im to się udaje. Istnieją ośrodki postępowe, walczące śmiało z tą nową formą supremacji władzy świeckiej nad Kościołem. Są one jednak w mniejszości. My zaś, bez naruszania w czymkolwiek wewnętrznej struktury Kościoła, musimy uczynić wielki wysiłek, by odciąć się od wszelkich wpływów zewnętrznnych, wypaczających naszą religijną działalność.

Pełne uniezależnienie aktywności katolickiej od wszelkiego rodzaju wpływów burżuazyjnych — to jedyną drogą do skutecznego przełknięcia nieporozumień co do istotnej treści katolicyzmu, a jednocześnie wydobycie na światło pełni treści społecznej naszego światopoglądu, zniekształconej w wielu wypadkach w ciągu XIX i XX wieku.

Wojciech Kętrzyński

## NA OKRES WIELKANOCNY „VERITAS”

poleca:

FIGURY — Chrystus do grobu	150 cm
Zmartwychwstanie	120 „
	85 „
	60 „
	30 „
	20 „
Anioły adoracyjne	80 „
	50 „
	25 „
	18 „

### ORAZ

paschały, świece kościelne, kadzidło, węgiełki do trybularzy itp.

CENTRALA: WARSZAWA, MOKOTOWSKA 43

adres pocztowy: Warszawa 1, skrytka nr 451

s k l e p y:

Bdgoszcz, 1 Maja 54  
Częstochowa, 7 Kamienie 27  
Gdynia, Świętojańska 45  
Gliżyko, Mickiewicza 38  
Kalisz, Garbarska 2  
Kraków, Sławkowska 20  
„ Księgarnia Krakowska  
„ Sw. Krzyża 13  
Lublin, Królewska 7  
Łódź, Andrzejka Struga 14  
Nowy Sącz, Sw. Ducha 3  
Pabianice, Armii Czerwonej 27

Pepłn, Stalina 24  
Poznań, Kantaka 10  
Siedlce, Świerczewskiego 20  
Sopot, Prez. Bieruta 7  
Szczecin, Śląska 7  
Świdnica, Nowotki 48  
Tarnów, Krakowska 39  
Toruń, Rynek Starom. 17  
Warszawa, Widok 5  
„ Młoczyńska 43  
Wrocław, Katedralna 6  
Zielona Góra, Świerczewskie-  
go 67



# Kilka słów o:

## Plastyce

### DWIE WYSTAWY POMORSKIE



W Muzeum Pomorskim w Gdańsku otwarto wystawę prac Leona Wyczółkowskiego obrazującą dorobek doskonałego artysty z czasów jego pobytu na Pomorzu.

W Domu Plastyków w Toruniu otwarta została ciekawa wystawa grafiki Stanisława Brzeczowskiego, zorganizowana z okazji 30-lecia pracy artystycznej tego cenionego plastyka pomorskiego.

### POLICHROMIA F. LEGER'A

W Paryżu w Galerie Louis Carré otwarta została ciekawa wystawa prac znanego postępowego plastyka francuskiego Fernanda Leger specjalizują-



cego się ostatnio w malarstwie dekoracyjnym, w dostosowaniu sztuki do potrzeb budownictwa masowego. Głównym elementem wystawionych monumentalnych prac Legera, to kafelki ceramiczne lub wzory ściśle dostosowane do wymagań architektonicznych. W katalogu wystawy Leger stwierdza, że celem jego pracy jest ściśle współpraca z architektami, aby jak najszerszej zastosować ceramiczną ornamentację w budownictwie.

### SPÓR O CEZANNE'A

„Cézanne nie jest prekursorem abstrakcjonistów” — pod tym tytułem zamieszcza pismo „Les Lettres Françaises” wypowiedzi młodych malarzy, którzy z perspektywą lat 50 dzielących ich od śmierci wielkiego mistrza malarstwa nowoczesnego, inaczej niż to czyniono do tej pory, oceniają jego dorobek i wpływ. Większość historyków sztuki uzależniona powidzeniem samotnika z Aix „Sprawdzając naturę do jej form pierwotnych waleńców, stożków i kół” — widziała w nim inicjatora kubizmu i innych awangardowych kierunków początku XX w. Młodzi wypowiedzi są w druzgocinę obecnej ankiecie bronią Cézanne'a jako realiste.

Łatwo przewidzieć argumenty, które padną czy mogą paść w tej dyskusji. Nie tyle może w portretach, czy kompozycjach figuralnych, ile pejzażach mogą szukać młodzi najzarliwszego we współczesnej sztuce studium przyrody. Postać Cézanne'a na tle impresjonizmu rysuje się szczególnie mocno i wyraziście. Był on tym, który rozbił na kolorowe plamki przedmiotem przywracał substancjalną godność i walor rzeczy sprawdzalnych.

Jakkolwiek potoczy się dyskusja nad twórczością tego, jak się sam określał — „prymitywisty na odkrytej przez siebie drodze” — jedno wydaje się bezspornie pozytywne. Mło-

dzi idąc samodzielnie ku realistycznym formom wypowiedzi nie chcą bagatelizować żadnej głębszej inspiracji twórczej.

## Filmie

### SUKCESY FILMU RADZIECKIEGO



W Stanach Zjednoczonych wyświetlany jest z wielkim powodzeniem radziecki film kolorowy „Wielki Koncert”. Nawet reakcyjne dzienniki takie jak „Star” i „Times Herald” stwierdzają, że film jest świetny. We Francji „Wielki Koncert” odniósł już dawno wielki sukces, ale dopiero po recenzjach amerykańskich, radio francuskie osmieleło się pochwalić film, niespodziewanie stwierdzając z zalem, że we Francji nie ma żadnych szans na powstanie

try i Chóru Polskiego Radia. Zepół, którego założycielem i kierownikiem jest znany dyrygent i kompozytor Jerzy Gert, liczy obecnie 180 osób i ma w swoim repertuarze szereg poważnych pozycji. W stałym dążeniu do podnoszenia swego poziomu, Zespół obok pieśni masowych ma na swym koncie wykonanie takiej np. pozycji, jak oratorium „Pieśń o Lasach” Szostakowicza.

Sluchacze Polskiego Radia i bywalcy sal koncertowych wiedzą z długoletniego doświadczenia, że w koncertach Orkiestry i Chóru P.R. zawsze znajdują interesujące i wartościowe pozycje, popularyzujące muzykę na wysokim poziomie.

### FESTIWAL MUZYCZNY KU CZCI EDWARDA GRIEGA

W roku bieżącym mija setna rocznica urodzin wielkiego kompozytora norweskiego Edvarda Griega. W związku z tym organizuje się w Bergen międzynarodowy festiwal muzyki i sztuki dramatycznej. Światowej sławy skrzypki Yehudi Menuhin i pianista Edwin Fischer zapowiedzieli już swe przybycie. W programie festiwalu przewidziane są koncerty symfoniczne w wykonaniu orkiestry filharmonii z Bergen której dyrygentem przez wiele lat był właśnie Edvard Grieg. Poza tym organizuje się szereg wieczorów muzycznych i pokazów tańców ludowych.

W czasie festiwalu będzie także obradować w Bergen międzynarodowa konferencja Towarzystwa Autorów i Kompozytorów.

## teatrze

### PREMIERY W MOSKIEWSKICH TEATRACH

#### Teatr MCHAT

W najbliższym czasie teatr MCHAT-u wystawi sztukę Gorkiego „Letnicy”. „Letnicy” po raz pierwszy wejdą do programu tego teatru. W roli Włosa wystąpi absolwent MCHAT-u — N. Aleksiejew.



**K**IEDY staniecie w zimowy ranek w Toruniu wśród starych drzew — zobaczycie widok wspaniały: zwarty profil murów, baszt i bram, domów, kościołów i okien. I wtedy pomyślicie, że jest to naprawdę piękne miasto.

Z Dworca Głównego idziemy kilometrowym mostem do miasta. A że wszystkie ulice prowadzą do Rynku, stajemy przed Ratuszem, gdzie mieszczą się dwie szacowane i omszałe instytucje: przebogate Archiwum i Muzeum Pomorskie ogłasza aż trzy wystawy (oprócz zbiorów statych). Oto ich tytuły: „Grafika i jej produkcja”, „Wiek Oświecenia w Polsce” i „Postępowy nurt w twórczości A. Grotgera”.

Najciekawsza jest pierwsza. Nie tylko świetnie skomponowana, ale wzorowo dydaktyczna. Materiał ilustracyjny dobrane ze znanstwem i smakiem. W szklanych gablotkach pokazano wszystkie tajemnice pracowni graficznych ukryte przed okiem przeciętnego widza pod obcymi nazwami akwafort, monotypii. „Wiek Oświecenia” stanowi wzięty skrót wielkiej wystawy urządzonej rok temu w Muzeum Narodowym w Warszawie. Natomiast wystawa Grotgerow-

### TEATR IM. WACHTANGOWA

Zespół Teatru im. Wachtangowa przygotowuje sztukę S. Michałkowa „Raki”. Nowy utwór jest ostrą satyrą na burokratów, którzy wkradli się na odpowiedzialne stanowiska, gdzie otoczyli się pochlebami i nierobami. Sztuka pokazuje przykre następstwa braku czujności, gapiostwa i politycznej krótkowzroczności.

### MOSKIEWSKI TEATR MAŁY

W roku bieżącym Moskiewski Teatr Mały wystawi kilka nowych sztuk dramaturgów radzieckich. M.in. utwór Pogodina „Kiedy kruszy się kopia”. Teatr przygotowuje również sztukę Jakobsona p.t. „Szakale” demaskującą amerykańskich inspiratorów wojny. Ponadto na scenie Teatru Małego wystawione zostaną następujące sztuki: „Redaktor Wołkow” — N. Wirty, „Prolog” — Szejna i „Niebezpieczny towarzysz podróży” — Sałyńskiego. Z utworów dramaturgii klasycznej Teatr Mały zamierza wystawić „Burzę” — Ostrowskiego, i „Makbeta” Szekspira.

### OD GRAHAMA GREENA DO JULIEN GREENA

Znana powieść Grahama Greena „Power and Glory” (Potęga i chwała) została adaptowana na scenę i wystawiona przez francuski zespół teatralny „Centre Dramatique de l'Est” w paryskim „Theatre de l'Oeuvre”. Adaptacja ta nie ma zbyt przychylnych recenzji. Zarzuca się, że w wielu wypadkach wypacza myśl Greena a charakter głównego bohatera przedstawia niezgodnie z tekstem książki.

Inny teatr paryski L'Athééné wystawi sztukę Julien Greena „Sud” (Południe). Akcja tej sztuki toczy się w stanach południowych U.S.A. w przededniu wybuchu wojny secesyjnej.

### NOWY BALET KATHERINE DUNHAM

Świetna tancerka murzyńska Katherine Dunham skomponowała balet p.t. „Ziemia Połud-

nia” („Southland”) wystawiony w Paryżu w Palais de Chaillot. W swoim nowym balecie, który jest najlepszym z dotychczas przez nią wystawianych Katherine Dunham z wspaniałą pasją artystyczną i demaskatorską przedstawiła historię lynchu w południowych stanach Ameryki Północnej.

Trzęś tego wspaniałego baletu — to historia codziennego dramatu Murzynów w Stanach Zjednoczonych. Realizm treści idzie w parze z mistrzostwem interpretacji. Na scenę wprowadzony jest chór murzyński, którego pieśń jest kanwą treściową wyrazistych scen tanecznych.

Wiedeńscy obchodzili ostatnio uroczystości 150 rocznicy robek pracy artystycznej — tego zasłużonego ilustratora, pedagoga i organizatora życia artystycznego.

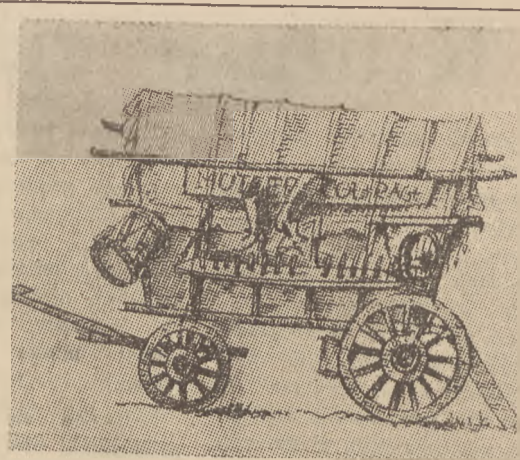
Wielkim zainteresowaniem cieszą się odczyty poświęcone kulturze świata antycznego. Tegoroczny cykl odczytów służył z kolei przyniósł „Początki i szczyty tragedii greckiej” wygłoszony przez znakomitego tłumacza Ajschylosa prof. Srebrnego, Dr. Michala Swobody o recepcji postaci antycznych w komedii Fredry oraz rzecz z pogranicza filologii łacińskiej i polskiej prof. Konrada Górskiego „Wergiliusz w Polsce”.

Tajemnicą powodzenia tych odczytów organizowanych przez bardzo ruchliwy tutejszy Oddział Polskiego Towarzystwa Filologicznego jest zapewne także szeroki zakres omawianych (zawsze przystępnie choć naukowo) zagadnień i ich związek z życiem oraz współczesnością.

Liczni melomani toruńscy z radością powitali zaliczenie zasłużonego i pracowitego zespołu Pomorskiej Orkiestry Symfonicznej w poczet Filharmonii Państwowych. Inauguracyjny koncert odbył się w pierwszej połowie stycznia i był jak się to mówi prawdziwym manifestacją. A przy tym koncert był naprawdę piękny; grato dwóch pianistów Ryszard Bakst i Lucjan Galon, orkiestra pod pełną pałeczką dyrygenta Romana Mackiewicza dobrze brzmiała.

Na teatr już nie miałem czasu. A szkoda, grał „Wieczór Trzech Króli” na który co gorętsi wielbiciele Szekspira chodzą parę razy.

Stefan Martha



Teatr Bertolda Brechta — Berliner Ensemble — przedstawił niedawno polskiej publiczności szereg dzieł ze swego repertuaru. Prawdziwym przeżyciem dla widzów była inscenizacja „Mutter Courage” B. Brechta, sztuki mającej głęboką, humanistyczną wymowę.

Matka Courage choć żyje z wojny i nieraz ją chwali zostaje przez nią pochłonięta. Wojna, jak nie nasycony potwór, porwuje wszystkie jej dzieci.

Dlatego przez całą sztukę Brechta snuje się niby motyw wiążący przejmującą pieśń o zwycięstwie pokoju:

Nadejście dzień — już niedaleki  
Gdy wreszcie los pomoże nam  
I wielkich wojen długie wieki  
Zwycięski lud zakończy sam.

Handlarzy nazbyt checiwych łupu —  
Ich śmiercionośny, krwawy tan,  
Odrzucił przez powstały tutaj  
Zwyczajnych ludzi nowy stan.

Nadejście dzień, lecz to, że przyjdzie  
Sprawi i mój i twój też czyn  
Więc ten kto dziś z nami nie idzie  
Niech zejdzie z dróg szczęśliwych dni.

(przekład M. Bieszczańskiego)

## Wszystkim

### JORGE AMADO W POLSCE

Po raz czwarty gościł w Polsce znany pisarz brazylijski Jorge Amado. Powracając z Moskwy Jorge Amado, zatrzymał się w Warszawie. Warto przy okazji przypomnieć, że niedługo na naszym rynku wydawniczym ukaza się ostatnie powieści tego pisarza: „Podziemia wolności”, „Świat pokoju”, oraz reportaż z ostatniej podróży po Chinach, Mongolii i Azji Radzieckiej.

### WYSTAWA POŚWIECONA POWSTANIU R. 1863

W Warszawie na Rynku Starego Miasta Muzeum Historyczne zorganizowało ciekawą i bogatą wystawę poświęconą Powstaniu Styczniowemu.

Pokazano tu szereg autentycznych dokumentów, takich jak Manifest i Odezwa Rządu Tymczasowego. Historie walk powstańców można odczytać z licznych obrazów, map, plansz, śledzić ją na ekspozycjach takich jak broni, sztandary, mundury. Specjalna mapa ukazuje bitwy toczone przez powstańcze oddziały partyzanckie. Przedstawiono m.in. dzieje oddziału powstańczego, dowodzonego przez księdza Stanisława Brzóske, który jako jeden z ostatnich złożył broń.

### WKRÓTCE UKAZĄ SIĘ DZIEŁA ANDRZEJA FRYCZA MODRZEWSKIEGO

W marcu bieżącego roku nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego ukaza się w przekładzie polskim, po raz pierwszy w całości, dzieło Andrzeja Frycza Modrzewskiego „O poprawie Rzeczypospolitej”. Zostało ono opracowane pod redakcją prof. Stanisława Bodniaka i zaopatrzone obszernym wstępem prof. Łukasza Kurdybachy.

Tak więc P.I.W. który tak niedawno wzbogacił nasze biblioteki dziełami Jona Kochanowskiego zapoznaje nas teraz z twórczością drugiego klasika polskiej literatury XVI wieku.

Redaguje zespół.

Prenumerata miesięczna 1,80 zł Kwartałnie 5,40 zł

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 i p. tel. 880 71 880 26.

Sekretarz redakcji przyjmuje zamówienia prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13  
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze  
Drukarnia Akwedensowa Warszawa Tamka 3 Zam. 245. 4-B-10811.